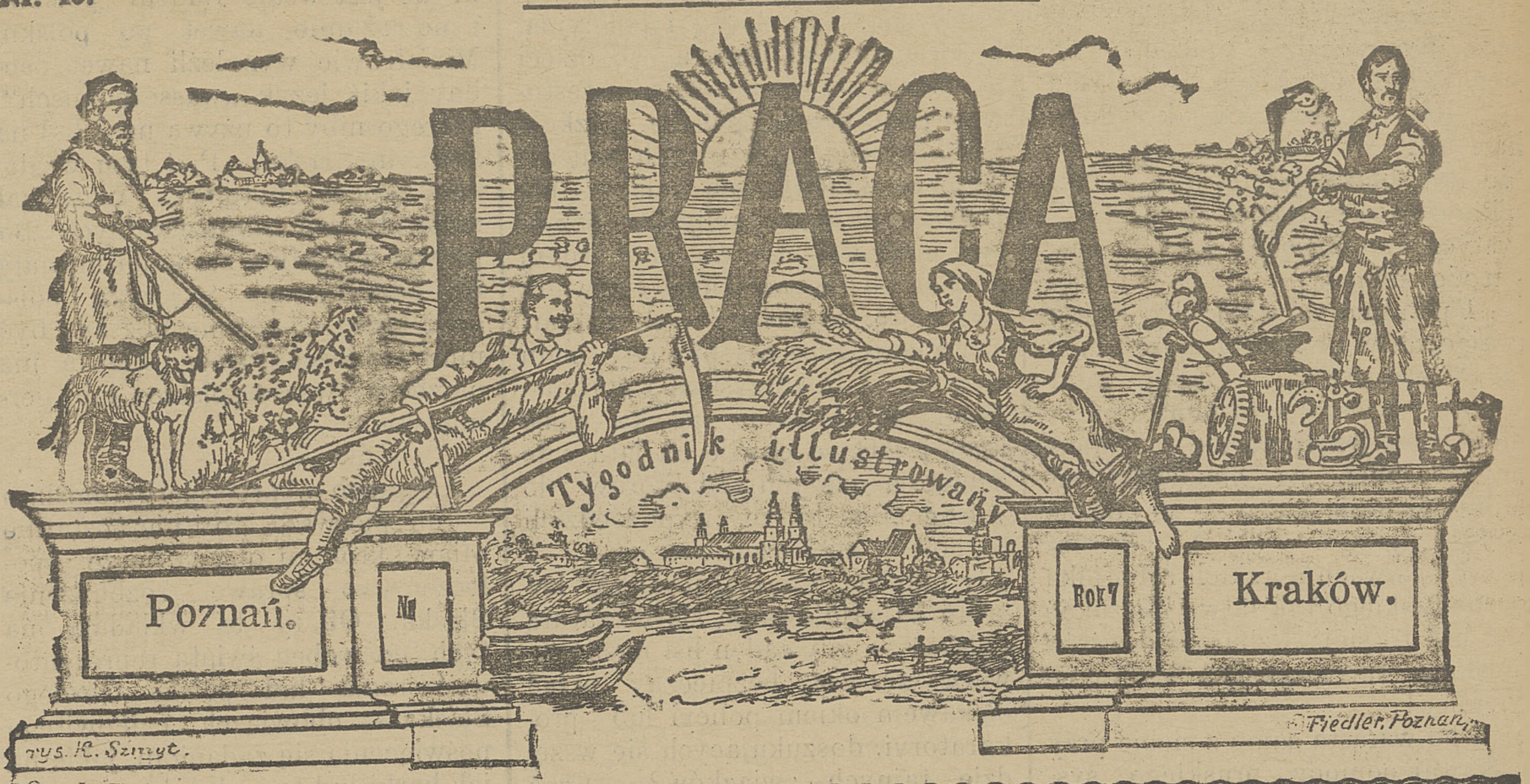
Nr. 40. Poznań, dnia 4-go października 1903. Rok VII.



Treść nr. 40-go.

Dział polityczny: W domu karnym. — Nareszcie. — Do Szanownych Komitetów wyborczych. — Kronika przedwyborcza. — Upadek socyalizmu. — W sprawie polskiego związku zawodowego. — Korespondencya z Krakowa. — Z tygodnia. — Przegląd prasy.

Felieton: Kronika. — Z teatru.

Dział illustrowany: Z ojczystych stron: Listy z nad jezior mazurskich. II. — Na dzień Aniołów Stróżów. (*Wiersz*). — Nasza śpiewaczka. — Fotografowana muzyka. — Marsyljanka. — Wspomnienia z niewoli moskiewskiej r. 1863-go. — (*Ciąg dalszy.*) — Polowanie par force. — Babie lato. (*Wiersz*). — Szczęście w nieszczęściu. (*Opowiadanie.*) — Wierzę. (*Wiersz*). — Zbawcy. (*Nowelka.*). — Zaproszenie do przedpłaty. — Wiadomości — Zmarli. — Ruch w Towarzystwach. — Od Redakcyi. — Dział kobiecy. — Dział rolniczo-ekonomiczny. — Dodatek humorystyczny. — Dział powieściowy. (*Śpiewaczka ludowa. Ciąg dalszy. Arkusz 15-ty.*)

Illustracye: Marsylianka. Illustracya albumowa. — Widoki z Mazur: 1) Widok z okolic Szczytna. 2) Rynek w Szczytn.e. 3) Olsztyn. — Portret pani Brochockiej. — Sześć rycin do artykułu: „Fotografowana muzyka." — Dwie ryciny do powieś „Śpiewaczka."

W domu karnym.

Proces z powodu zajść w Laurahucie już zakończony: i oto znowu zamykają się bramy więzienne za szeregiem ofiar systemu pruskiego, a zastęp rodzin, pozbawionych swych żywicieli, okrywa się żałobą...

Lecz pocieszcie się więźniowie, pocieszcie się rodziny skazanych! Wasze łzy płyną nie na marne. Serce Polski całej, gdyście wy zasiedli na ławie oskarżonych, uderzało dla was z tą samą miłością, z tą samą trwogą i współczuciem, z jaką uderzało dla skazanych w procesie wrzesińskim, i — dla ofiar procesu gimnazyastów. Wasze łzy i utrapienie w więzieniu nie pójdą na marne: bo takie chwile, gdy serca całego społeczeństwa zestrzelą się w jedno ognisko, są drogocennym kitem, który spaja i łączy nas wszystkich w jedną całość, choć okupione są łzami i cięży troską. Im bardziej wpijają się nam w ciało kajdany systemu antypolskiego, — im bardziej nam cięża pruskie dążności państwowe, tem ściślejszą, tem bliższą się staje łącząca nas spójnia. Każda z cząstek naszego zaboru odmienne przechodziła koleje, — ale wspólna nasza niedola zbratała i zjednała nas wszystkich. Dalsze pokolenia błogosławić może będą jeszcze kiedyś te bolesne chwile naszej łzawej teraźniejszości, która jęk wyciska z naszych piersi: — bo po tym jęku poznajemy się wszyscy, że jesteśmy braćmi, — żeśmy jednem nierozdzielnem społeczeństwem!

Jesteśmy wszyscy braćmi! — ta świadomość, że wszyscy jak bracia odczuwamy cios, zadany szeregowi rodzin górnośląskich, niech doda otuchy i spokoju skazanym. Proces, którego się oni stali ofiarą, zbliżył znów o krok jeden Śląsk Górny do reszty Polski... Nie na marne łzy i ciernienia, — nie na marne!

Niepowstrzymaną falą wzbiera gorycz w sercach ludu górnośląskiego. Od zbyt dawna lud ten musi spoglądać na to, jak obcy ogałacają go ze wszystkich praw, i na każdym kroku krępują jego osobistą swobodę. Gorycz tę w lapidarnych, jędrnych słowach ujął jeden z oskarżonych w minionym procesie. Posłuchajmy tylko, co zeznał o zajściu jeden z policyantów: „*Starałem się zastąpić tłumowi drogę i powstrzymać go słowami: Ludzie, pohamujcie się, bo to się nie skończy inaczej, jak w domu karnym!*" — a na to oskarżony zawołał mi szyderczo: „*My już i tak wszyscy jesteśmy jak w domu karnym!*" — —

Słowa te, co w chwili takiego zamętu i rozruchu trysnęły wprost z serca jednemu z prostych robotników, streszczają w formie strasznej swą nagą a bezwzględną prawdę — wszystko to, co czuje i myśli nasze całe społeczeństwo. Zasługują, aby je umieścić jako godło w nagłówku wszystkich naszych

gazet, są bowiem nie fałszowaną kwintessencyą usposobienia ludu polskiego wszędzie, gdzie tylko sięga dłoń pruskiego żandarma.

„Jesteśmy wszyscy jak w domu karnym!“ Oto jak uświadamia sobie swe położenie lud śląski, — oto jakie owoce zbiera ze swego hakatystycznego posiewu system wynarodowienia!

I pomimo słów takich, streszczających w błyskawicznym rzucie całą treść duszy polskiej, ministrowie pruscy z trybuny parlamentarnej twierdzić nie przestaną najspokojniej, że obudzenie się ludu górnośląskiego — to „dzieło garstki agitatorów!“ A przecież w tych słowach gorzkich robotnika górnośląskiego tak łatwo doszukać się, kto to sieje wzburzenie wśród polskiego społeczeństwa w obrębie Niemiec!

Ono wzrasta samo z siebie przy łaskawej pomocy pruskiego systemu i bez podniety agitatorów; wzrastać bowiem musi na widok tych wszystkich ograniczeń, jakim są poddane prawa obywatelskie i narodowe. Bo jeźli już nawet niezależni od rządu Niemcy dziś gorzko się uskarzają, że system pruski jest niczem innem, jak tylko zastosowaniem owych słów, według których prawa i obowiązki obywatela pruskiego streszczają się w trzech punktach: być żołnierzem, płacić podatki i stulić gębę; — to czyż nie stokroć prędzej my, Polacy, odczuwamy tę wieczną kontrolę, to nieustanne szpiegowanie i śledzenie, — tę śrubę biurokratyczną, podatkową i policyjną, która nam wzbrania uczyć dzieci po polsku, — nie pozwala protestować, gdy dzieci polskie w szkole pruskiej wiją się w rękach nauczycieli, wymachujących linią, — nie pozwala na naukę religii w ojczystym języku, — a nawet na marnym adresie listu polskiego wywiera swą złość, że nie jest niemieckim! Cóż mamy rzec o sobie, gdy nam rozwiązują towarzystwa i zgromadzenia za używanie języka polskiego? gdy co chwilę na lata całe zabierają naszych redaktorów do więzienia za to, że wypowiedzieli to, co całe społeczeństwo czuje? — gdy młodzieży naszej niweczą karyerę za zajmowanie się literaturą polską? — gdy żaden list nasz prywatny nie jest bezpieczny przed ciekawem okiem policyi lub prokuratoryi, doszukujących się wszędzie tajnych związków? — Czyż więc położenie nasze całe pod takim systemem nie przypomina w rzeczy samej pobytu w domu karnym? —

Na każdym kroku śledzeni, zewsząd otoczeni kratą paragrafów, w każdym czynie skrępowani przez niezliczone zakazy, mamy jedną tylko jeszcze wolność, tę samą, której i więźniom domu karnego nikt nie zdołał odebrać: *wolno nam jeszcze myśleć, jak nam się podoba!*

. . . .

Słyszeliśmy niedawno zapewnienia rządowe, że lud górnośląski nie jest wcale ludem polskim i nie rozumie nawet po polsku. Ministrowie wynaleźli nawet osobny jakiś język „wasserpolnisch“, którego niby to używa nasz lud na Górnym Śląsku. Pod tym względem proces bytomski rozwiązał mgłę złudzeń ministeryalnych. Bo prawie wszystkie zeznania musiały być odczytywane w języku polskim, który widocznie bliższy być musi ludności Górnego Śląska, niż narzecze wasserpolskie lub germańskie.

. . . .

Skazani w procesie bytomskim — nie pierwsze to i nie ostatnie ofiary, któremi opłaca nasze społeczeństwo sprawę rozbudzenia Śląska. Ofiary te wkładają na tych, co wobec świata reprezentować mają lud polski Górnego Śląska — obowiązek całkowitego poświęcenia się zadaniom, jakie na ich barki lud ten włożył.

Mandat posła Korfantego okupiony został ciężką ofiarą. Będzie mu ona jednym bodźcem więcej, aby z tem większą powagą, z tem większym zapałem, sprawy świętej tego ludu bronił i prowadził go ku lepszej przyszłości.

Vester.

Nareszcie!

W ostatnim numerze zwróciliśmy uwagę na uderzające wyznanie „Katolika“, z którego musieliśmy

KRONIKA.

Ostatnie pogodne i jeszcze ciepłe spojrzenia boskiego Heliosa. Trzeba z nich korzystać. Najdalej za kilka tygodni zaciągnie się niebo chmurami, nadlecą zimne podmuchy i liście, ostatni symbol życia w naturze, rozproszą się po świecie, porwane wichrem daleko od ojczystego pnia. Zczernieją na rannych śronach, zmarnieją wśród śnieżnych zawieji.

Rojno więc u wszystkich wylotów miasta. Rzeka ludzi płynie nieprzerwanym ciągiem. A nad różnobarwnemi jej falami unosi się złocista od słonecznych blasków aureola kurzu. Gdy spojrzysz przeciw słońcu w tę ulicę tonącą jakby w kadzideł chmurach, zdaje ci się, że tam chyba odetchnąć nie można. — Bajki mój drogi, to właśnie procesya po świeże powietrze.

Toczą się imponujące swą tuszą mamy, tata wystąpił w cylindrze, co lepsze pamięta czasy, córeczki w jaśniejących szatach oczkami strzelają i jedzie korona całej wyprawy: wózek z najmłodszą pociechą. Gdy taka karawana się zbliża, to aż z uszanowania schodzić trzeba z trotoarów.

Awantura, myślę sobie, niedziela to także instytucya w swym rodzaju. I mijam jak najszybciej ową wędrówkę ludów, uciekam od ludzi, Poznania, niedzieli i tych wszystkich pojęć i wyobrażeń, które nałożone musem uciskają jak źle zrobione buty. — Zostaję sam. W około łąki i cisza i spokój.

Miasto Poznań najchętniej oglądam z daleka. Cała masa budynków maleje do kilku konturowych kresek. Po nad tem smukłe wieżyce, co już setki lat trzymają straż nad krajem. Resztę widoku przesłaniają sine mgły. — Wówczas można zapomnieć, że od starego tumu aż het na drogę ku Bukowi jedzie tramwaj, a na nim napis Dom — Trainkaserne. Można nawet zapomnieć, że u stóp tych wieżyc wre walka straszna, coś w guście niszczenia Burów, tylko znacznie ulepszona taktyka. Można zapomnieć wreszcie o wielu bardzo wielu rzeczach.

W zapomnieniu takiem czuję się szczęśliwym. I zdaje mi się, że gdybym miał jeszcze próżną beczkę i ognistsze słońce nad głową, to nawet Diogenes mógłby mi pozazdrościć. Tak, tylko Diogenesowi wszedł w drogę Aleksander, który pomimo swego stanowiska był człowiekiem, bądź co bądź bardzo inteligentnym. Ja zaś spotkałem się w owem ustronnem miejscu z przeciętnym Poznańczykiem.

— Witam pana! Cóż słychać? — zagadnął.

— Nic nowego. Cały dzień źle, a na wieczór kolacya i trochę nadziei, że będzie lepiej.

— No, no, przesadza pan. Żarty, jak Boga kocham, żarty.

— Nie panie — rzeczywistość. — A wie pan czemu na wieczór trochę nadziei, bo inaczej ludzie by nie znieśli losu, i ten i ów porwał by się, uwiązał

wywnioskować, iż nareszcie poczynają się otwierać oczy bytomskiemu centrowcowi polskiego języka i przychodzi do przekonania, że dalszy sojusz z Niemcami katolikami jest niemożliwym. Wydaje się — pisaliśmy — jakoby „Katolik“ *wycofywał się z szeregów centrowych* a Tow. ludowe miało dla niego ten cel, by osłonić rejteradę „Katolika“ przed klerem górnośląskim. Nareszcie bowiem uwzględnił ewentualność porzucenia centrum i wyraził nadzieję, że polskiemu Towarzystwu ludowemu *uda się oba obozy doprowadzić do porozumienia, co jest rzeczą najpilniejszą.*

Słowa te były wyraźną zapowiedzią akcyi odwrotnej i zmiany frontu ze strony „Katolika“. A na pierwszy, najtrudniejszy a stanowczy krok p. Napieralski nie dał czekać długo, bo otóż w n. 116 „Katolika“ pisząc o Polskiem towarzystwie ludowem zdradza nam tak, jakby się wstydził, iż redaktor naczelny „Katolika“ *wystąpił z wyborczego komitetu partyi centrowej dla powiatu Bytomskiego*, ażeby dać do poznania, że odtąd już sam spraw wyborczych nie rozstrzyga, jak to było do tego czasu.

P. Napieralski nie ma powodu wstydzić się tego; natomiast powinien się rumienić z tego, że tak długo siedział po uszy w germanizatorskich wodach centrowców, podczas gdy inni mężnie nieśli kaganiec polskości przed ludem piastowskim, że wojował niesfornie z powstającym „Górnoślązakiem“ i trwał w swej pysze głuchy na dobro ludu tak, że nawet półgębkiem popierał kandydaturę znanego Polenboksera Ballestrema. Ale nie będziemy dziś już przypominali „Katolikowi“ jego grzechów; przeciwnie radujemy się, że przecież ozwała się w nim godność i — struna polskości. Długo czekaliśmy na ten stanowczy krok górnośląskiego polityka, lecz „lepiej późno, jak nigdy.“

Krok swój motywuje wydawca „Katolika“ wybiegami, a mianowicie:

Dopóki nie było towarzystwa, któreby dawało pewność, że szczególnemi sprawami ludu polskiego na Ślązku podług zasad sprawiedliwości, z doświadczoną rozwagą, a ciepłem sercem sterować będzie, redaktorowie „Katolika“ i innych gazet z potrzeby odpowiedzialność kierownictwa na siebie brali. Z chwilą, gdy takie towarzystwo powstało, uważają za pierwszy swój obowiązek, uznać je i jak najsilniej je poprzeć“.

Gdyby „Katolik“ mówił prosto z mostu, usłyszelibyśmy całkiem inną piosnkę. Prawi on tak o Tow. ludowem jakby bez niego Polak górnoślązki z poczuciem sprawiedliwości, doświadczeniem, rozwagą i ciepłem sercem musiał wieszać się i wysługiwać centrowcom. A tymczasem fakt wykazuje, że inni nie posiadając na swe usługi tyle pism i tej falangi co „Katolik“ odważyli się na to i obecnie już, przechylając się pod osłoną Tow. ludowego na ich stronę, „Katolik“ nie może twierdzić, by nie byli okazali doświadczenia, rozwagi i ciepłego serca dla ludu i sprawy.

Prawdą jest, że „Katolik“ pozwolił się tak zaszachować z dwoch stron i dostał się w takie położenie, że prędzej czy później musiał przejść z całym swym bagażem albo do centrowych germanizatorów albo do Polaków. Nadzieje, jakie pokładał w centrum, zawiodły go sromotnie. Zdawało mu się, że centrum będzie liczyć się z jego potęgą a tymczasem ono haniebnie sobie zadrwiło. Z jakim to mozołem wytargował „Katolik“ jedynego swego kandydata! A nawet przeciwko temu „Górnoślązakowi“ polskiego języka“ niemieccy katolicy stawili swego Niemca. W dodatku centrum zmusiło go do tolerowania hr. Ballestrema. Wobec tego ślepemu byłyby się oczy otworzyły.

Nie było innej drogi wyjścia jak prześć do narodowców, a chwilę tę przyspieszyły nie, jak twierdził „Orędownik“, wybory do sejmu, lecz wyrastający na świat centralny polski komitet wyborczy na rzeszę niemiecką, który przy dotychczasowym stanie rzeczy byłby musiał pominąć katolikowe Tow. ludowe a przygarnąć i tem samem wzmocnić Polskie Tow. wyborcze. Więc „Katolik“ zbudował sobie most w postaci Tow. ludowego.

Przez usunięcie się wydawcy „Katolika“ i jego stronnictwa od

---

kamień u szyi i skoczył do Warty. A to by była awantura i tego nie pragnie ani policya, ani ślepy los, co rządzi ludzkiemi sprawami.

Obywatel Poznania wzdrygnął się na myśl o zimnej kąpieli. — Przed nami rozciągało się długą linią jedno z przedmieść, co jak lodu igiełka na szybie, rośnie prawie w oczach. Pół nieba płonęło świetlaną zorzą zachodu. —Towarzysz mój znów zagadnął:

— Podobno rozpoczną się na nowo wykłady, dalszy ciąg lipcowych, czy czerwcowych.

— Tak jest. Nawet w Poznaniu znalazła się pewna ilość młodych dusz, co to, jak pan słusznie zauważył, miewa wykłady. Ale — to garstka; po za pewną małą ilością brak u nas ludzi. Cofamy się ustawicznie.

Dzisiaj brak już nawet zainteresowania się kwestyami ogólnego dorobku ludzkości. Czasy Libeltów, Moraczewskich i t. d. minęły dla Poznania bezpowrotnie. Koło naszej inteligencyi stale maleje choć ludność wykazuje znaczny przyrost. — Wina takiego stanu nie tylko na nas samych spada. Jest to także jeden z systemów rządowych, któremu imię „utrudnianie Polakom nabywania nauki.“ Ale mogło by być nawet mimo to lepiej gdyby było więcej chęci. — U nas prawie wyłącznie świat piękny zajmuje się takiemi drobnostkami, jak ruch umysłowy. Jest to jedną więcej zaletą naszych pań, ale to nie wystarcza.

— Panie, pan jest pesymistą. Toć mamy nasze instytucye naukowe — Towarzystwo przyjaciół nauk....

— Tak, ma pan słuszność, a w gmachu tego Towarzystwa kamienne popiersia Libelta, Cieszkowskiego, Marcinkowskiego i innych, którzy niegdyś „oświaty kaganiec“ nieśli przed narodem. Ale dzisiaj zimne ich usta, a oko martwe. — Zresztą nie wierzy mi pan, to... lecz urwałem nagle. Od łąk, co się w delikatne mgieł zaszywały musliny szedł donośny głos wraz z silną wonią wilgotnej świeżości:

„Nuże żywo postaw flaszę
Trzeba pić,
Bo wesołe życie nasze
Kiedy pełne krążą czasze
Trzeba pić.“

Ktoś bardzo wesoły. Może ma i racyą, a w takim razie nie warto filozofować. Czy nie lepiej huknąć sobie piosenkę na całe gardło i posłać ją w świetliste przestworza zachodu? Lecz zmącony uroczysty nastrój. — — Ależ to niedziela i jesteśmy tuż pod miastem, toć to wszystko w porządku... Ebrii te salutant.

Nagórny.

centrum sprawa polska na Śląsku postąpiła znaczny krok naprzód. Dalsze jej losy spoczywały w rękach Tow. Ludowego i Polskiego Tow. Wyb., zawisły od tego, czy przyjdzie do mniej lub więcej ścisłego porozumienia pomiędzy dwoma stronami.

Artykuł „Katolika“ mówiący po raz pierwszy i z naciskiem o zgodzie z narodowcami, których zwalczał zacięcie przy wyborach, upoważniał do różowych nadziei. Zabłysła jutrzenka zgody, tem silniej, że Tow. wyborcze dawno już dążyło do porozumienia. Na wieść o wystąpieniu p. Napieralskiego też nie oddawało się tryumfem, lecz zamanifestowało swój patryotyzm, szczerze wyciągając rękę do zgody.

Otóż co pisał „Górnoślązak“:

„Wobec tego możemy żywić nadzieję, że nastanie u nas zgoda w polityce, że tą jednością silni zabrać się będziemy mogli z tem większym skutkiem do pracy na polu społecznem. To bowiem jest rzeczą jasną, że gdyby nie nastała zgoda w polityce, nie mogłoby też być mowy o wspólnej pracy na innych polach.

Z naszej strony należy się uznanie „Tow. Ludowemu“, że tak szczęśliwie pokierowało sprawą. Miejmy nadzieję, że i dalsze usiłowania towarzystwa pomyślnym zostaną uwieńczone skutkiem, że nareszcie doczekamy się tak bardzo pożądanej zgody, do której dążyć każdego prawego Polaka świętym obowiązkiem!“

Ponieważ oba stronnictwa tak szczerze ujawniły swe pragnienie zgody, mogliśmy się spodziewać, że niebawem wybije wielka, upragniona godzina.

Wybiła prędzej aniżeli spodziewaliśmy się; wieść gruchnęła, że *oficyalna zgoda nastąpiła, oba towarzystwa zlewają się w jeden komitet.*

A korespondent „Kur. Pozn.“ donosi następujące szczegóły:

„Nastąpiło przypieczętowanie wspólnej zgody. „Towarzystwo ludowe“ spełniło swe posłannictwo i pod przewodnictem zacnego swego przewodniczącego X. prob. Skowrońskiego, zapośredniczyło ze skutkiem we wzajemnem zbliżeniu się obu zwalczających się dotąd obozów politycznych. Rozwięzuje się ono, czyli ściślej się wyraziwszy, zlewa się ono z „Towarzystwem wyborczem“ w jedno ciało polityczne, z którego powstaje komitet prowincyonalny dla Górnego Śląska. Do tego komitetu „Tow. wyborcze“ dostarcza dziesięciu członków i prezesa, „Tow. ludowe“ dziesięciu członków. Skład więc tego komitetu będzie liczył zatem razem 21 członków. Redaktorzy wszystkich trzech organów głównych, a więc „Głosu Śląskiego“, „Górnoślązaka“ i „Katolika“ będą mieli w nowym Komitecie głos doradczy. Z każdego pisma będzie miał w nim głos jeden redaktor.“

Nareszcie, po tylu latach, i na starej ziemi Piastów zawięzuje się prowincyonalny komitet wyborczy, na wzór komitetów w innych dzielnicach, obejmujący wszystkie żywioły polskie bez wyjątku.

Radosna wiadomość! Pod skrzydłami jednej matki i przy jednym wspólnym sztandarze stają wszyscy Polacy ręka w rękę — przeciw zaczepnej falandze księży germanizatorów, którzy dotąd lud polski trzymali w kleszczach germanizmu, przeciwko wszystkim wrogom naszego narodu.

Nastaje dla G. Śląska nowa era.

Narodowcy przełamali pierwsze lody i to pozostaje ich wyłączną zasługą. Oni z młodzieńczym zapałem i wiarą w swą sprawę skruszyli pęta zawisłości od Niemców katolików, a drugim, może jeszcze świetniejszym ich sukcesem jest to, że pociągnęli za sobą na tory narodowe kunktatorskiego „Katolika“ i jego zastępy górnośląskie. Jeżeli po wyborach do parlamentu z ufnością patrzeliśmy w przyszłość Śląska, dzisiaj przyszłość ta zapowiada się świetnie.

Niezawodnie różnice zapatrywań pomiędzy katolikowcami a narodowcami nie przestaną ujawniać się w życiu społecznem, lecz to nas wcale nie turbuje.

Absolutna zgoda nie jest bynajmniej pożądaną, jako znamię zastoju i martwoty. O to tylko chodzi, aby Polacy wszystkich odcieni stali na jednym gruncie —

Z teatru.

Wybitną cechą repertuaru, jaki się dotychczas w sezonie nowym na naszej scenie zaprezentował, jest fakt, którybym nazwał badaniem gruntu. I przyznać trzeba tak tym razem jak już tylekrotnie, że dyrekcya naszego przybytku sztuki umie świetnie odgadywać gust i pragnienia naszej publiczności.

Kiedy opuszczałem teatr po komedyi „Mąż z grzeczności“, lub po wodewilu „Żonaty kawaler“ to nasuwały mi się myśli, bardzo śmiałe zresztą, że są sztuki wobec których trudno się zdobyć na ochotę pisania. I miałem obawę, czy nie przeciągnięto struny w kierunku odżywiania publiczności lekką strawą. Tymczasem mniemania te moje okazały się zupełnie błędnemi. Publiczność w bardzo przeważnej części zachwycona, ergo causa finita!

Dyrekcya wie dobrze, co się w Poznaniu podoba, a że teatr w naszych warunkach nietylko czystej sztuce może służyć, więc wywiązanie się dyrekcyi z zadania jest stale godne podziwu.

Trudno, jesteśmy w wyjątkowych warunkach. Inteligencya w kołach naszej publiczności cofa się, jak to zauważa słusznie mój kolega po piórze w dzisiejszej kronice. A kto temu nie wierzy, ten powinien iść do teatru w dnie po za sobotą na jakąkolwiek poważniejszą sztukę: n. p. „Na dnie życia.“ Gorkij to dusza głęboko odczuwająca ludzką niedolę. Ślepe przeznaczenie chwyta w żelazne kleszcze nieszczęśliwe ofiary i prowadzi do celu równie nędznego, jak całe życie. Ta egzystencya tych istot wydziedziczonych z wszelkich dóbr ludzkości tak materyalnej jak moralnej natury, to straszny wstrząsający nerwami dramat. Takby się myślało. Ale przeciętna publiczność poznańska myśli zupełnie inaczej. Śmieje się od początku do końca a tak głośno i szczerze, że trudno uwierzyć, aby rozumiała sztukę. Sancta simplicitas. Ale to tylko tak nawiasem.

Śmieje się publiczność, choć artyści grają ogólnie bardzo dobrze. Znane już Poznaniowi świetne kreacye pana Rygera w roli aktora i pana Dobrzańskiego w roli barona. Stworzyli oni żywe skończone typy, jednolite w całości, subtelne w odcieniach, ogromnie prawdziwe i plastyczne. Gra też obu tych wytwornych artystów porywa zawsze i wywołuje jako uznanie natychmiastowe huczne oklaski.

Obok tych dwóch najlepszych należy wymienić pana Ryszkowskiego który trudną rolę dziadka oddał nadzwyczaj poprawnie, nie przekraczając w niczem miary artystycznej i nie popadając w szarżę. Pan Wiślański nie zbyt znaczną swą rolę odegrał bardzo dobrze łącząc inteligentne pojęcie postaci z temperamentem rosyjskiego chłopa.

Reszta ról spoczywała w rękach dobrych, tak że całość złożyła się na świetny wieczór, którego nastrój płoszyła chyba tylko zbyt głośna publiczność.

K. R.

narodowym, aby wszystkich ich splatała wobec wroga jedna myśl, jeden cel. I do tego doszliśmy nareszcie.

W tym wielkim momencie ślemy wszystkim aktorom tego pięknego aktu a więc: X. Skowrońskiemu, p. Napieralskiemu i Tow. wyborczemu powinszowania, a nowemu komitetowi wyborczemu i całej ziemi śląskiej bratnie życzenia na przyszłość: quod bonum, faustum felix fortunatumque sit!

Quis.

Do Szan. Komitetów wyborczych powiatowych
na W. Ks. Poznańskie.

Prawybory wyborców (walmanów) do sejmu pruskiego naznaczone zostały na dzień 12 listopada, zaś wybory główne na posłów na 20 listop. roku bież.

Prowincyonalny Komitet wyborczy na W. Ks. Poznańskie postanowił zwołać walne zebranie delegatów celem wyboru kandydatów poselskich na dniu 5-go listop. rb. o godz. 11-ej przed południem.

Podając to niniejszem do wiadomości, prosimy Szanowne Komitety powiatowe, iżby akcyą wyborczą się zajęły i w myśl § 6 regulaminu wyborczego walne zebrania powiatowe zwołały. Protokóły z odbytych walnych zebrań powiatowych powinny być przed zebraniem delegatów przysłane na ręce sekretarza Komitetu Prowincyonalnego. Przy tej sposobności zwracamy uwagę na § 14 regulaminu wyborczego, który na komitety powiatowe nakłada obowiązek zbierania składek na cele wyborcze i utworzenia stałych kas wyborczych powiatowych. Pod tym względem organizacya nasza wyborcza jeszcze bardzo nie domaga, a skutkiem braku funduszów agitacya wyborcza kuleje. Komitety powiatowe powinny sprawami kas wyborczych energicznie się zająć i w zbieraniu składek zaprowadzić stały system, a nie poprzestawać na dorywczej kolekcie przed każdemi wyborami do sejmu lub parlamentu, jak się to zwykle dzieje.

Tylko takim sposobem zyskać możemy dostateczne fundusze wyborcze, konieczne dla wszechstronnej agitacyi i zwycięzkiej walki wyborczej.

Poznań, 25. września 1903. r.

Prowincyonalny Komitet wyborczy na W. Ks. Poznańskie.

Ks. dz. Antoniewicz, prezes. Stefan Cegielski, wiceprezes.
Dr. Krysiewicz, sekretarz. M. Więckowski, skarbnik.
Julian Brzeski, Dr. A. Chłapowski, Dr. T. Szułdrzyński.

Kronika przedwyborcza.

Dnia 12 listopada, odbędą się wybory prawyborców czyli walmanów a dnia 20 listopada wybory posłów sejmowych.

Wybory te nie we wszystkich dzielnicach posiadają równomierne znaczenie. Niestety w wielu powiatach, reprezentowanych w parlamencie przez Polaków, nie mamy widoków przeprowadzenia naszego posła do sejmu — wskutek innego prawa wyborczego, innej geografii wyborczej a mianowicie wskutek tego, iż na wielu punktach „zagrożona" niemczyzna zepchnęła nas na nizki stopień ekonomiczny.

Już przed kilku tygodniami wyjaśniliśmy w osobnym artykule jak odbywają się wybory do sejmu a mianowicie, że w przeciwstawieniu do wyborów do parlamentu są pośrednie tak, iż uprawniony do głosu nie głosuje wprost na posła lecz na walmana itd.

Nasze W. Ks. Poznańskie podzielone jest na 13 okręgów wyborczych wiejskich i jeden miejski, które razem wybierają 29 posłów. Z tych mamy tylko 9 naszych posłów. Musimy dołożyć wszelkich starań, aby ich utrzymać i — zdobyć co jest w naszej mocy. Nie wolno nam bowiem zapominać, że każde wybory są częścią uprawnionej walki o nasze najświętsze prawa.

Mówiąc o możliwych zdobyczach mamy na myśli okręg poznański (wschodni i zachodni) i obornicki wysełający do sejmu dwóch posłów. Z naszej strony wysunięto kandydaturę p. dr. T. Szułdrzyńskiego z Bolechowa, zasłużonego i gorliwego obywatela, który ciesząc się zasłużoną popularnością i zaufaniem obu stronnictw, dozna zapewne jaknajserdeczniejszego poparcia. Mamy nadzieję, że wobec tego nie będzie się wahał przyjąć na siebie trudnych ale zaszczytnych obowiązków poselskich.

Do okręgów pewnych należy odolanowsko - ostrowsko - ostrzeszowsko - kępiński, wybierający dwóch posłów. Odbył się tam już jeden wiec przedwyborczy, i to w Ostrowie dnia 27 z. m., na którym postawiono następującą listę kandydatów: *dr. Mizerski, dr. Dziembowski, X. Śmigielski.*

Ruch demokratyczno- postępowy jest w tych stronach bardzo słabym, natomiast inaczej przedstawia się rzecz w okręgu pleszewsko- jarocińsko- krotoszyńsko - koźmińskim. Pleszew i Jarocin są pod tym względem daleko posunięte, a jest nadzieja, że Krotoszyn i Koźmin pójdą ich śladem.

„Opinia Krotoszyna — jak piszą do „Postępu" — ostatniemi czasy została mocno nadwerężoną, szczególnie przez ostatnie wybory do parlamentu, w których wybrano politycznie zdyskredytowaną osobistość, jaką jest ks. prałat Jażdżewski.

Stało się to głównie dzięki ospałości naszych ludowców, którzy nie mieli dość odwagi otwarcie wystąpić przeciwko tej kandydaturze, nie wątpię jednak, że ruch ludowy przy wyborach do sejmu okaże się dość silnym, aby uniemożliwić wybór ks. prałata.

Jest to poniekąd jego obowiązkiem, aby osobistość, która nie umie albo nie chce zrozumieć ludu i dążeń jego, zastąpić inną siłą."

Kandydaturą ks. Jażdżewskiego zajmuje się szczegółowo „Postęp", wytaczając cały szereg wymownych racyi, dla których w naszem Kole sejmowem nie powinno być miejsca dla posła Jażdżewskiego. Między innemi podnosi „Postęp", że aczkolwiek ks. J. uchodził za przeciwnika projektu rządowego co do powiększenia armii, głosował za projektem.

„Uległ, dał się namówić — upadł, bo dał dowód słabości charakteru. Co gorsza, ten zrazu niby niezłomny stary Katon rzymski, ten mąż rządzący się zasadami stałemi, później śmiał wystąpić nawet z obroną tego kroku swojego. Tłomaczył, że „musiano" tak sobie postąpić, że to stało się z „obowiązku sumienia". Upadł jeszcze niżej, gdy począł prawić publiczności, że wewnętrzne swary u nas mają swe źródło w ambicyi redaktorów. Zapomniał, lub nie chce wiedzieć, że swary u nas wewnętrzne powstały skutkiem zaprowadzenia polityki prusko-polskiej, którą zainaugurował kolega jego na wiecu toruńskim, a potem na złamanie karku uprawiano w sposób częstokroć najniemoralniejszy i najohydniejszy. Ks. dr. Jażdżewski dzielił później zapatrywania ks. arcybiskupa co do Szlązka, którego się wypierał wobec Hardena-Witkowskiego i innych redaktorów żydowskich gazet berlińskich. Dla nich Szlązk to — odłam na wieki dla narodu stracony — tylko wielkopolska agitacya bróździ, budzi do życia od sześciu wieków uśpione poczucie narodowe. Takie enuncyacye muszą się podobać rządowi i zaskarbić względy na przyszłość."

Słusznie też konkluduje „*Postęp*":

„Ks. dr. Jażdżewski nie będzie już więcej do sejmu posłował. Takie nasze przekonanie i takie oraz życzenie. Już poczynają się na zebraniach wstępnych przeciw niemu podnosić głosy

publiczne z wotum niezaufania. Ks. dr. Jażdżewski stracił wiarę u ludu swem dwulicowem postępowaniem".

Jak wiadomo już w czasie wyborów do parlamentu wskazywaliśmy na niebezpieczeństwo jakie zagraża stronnictwu demokratyczno- postępowemu ze strony posła Jażdżewskiego.

Następnie z całym naciskiem przemawialiśmy w tym duchu, a zdania nasze dzielą szerokie zastępy postępowe. Zdaje się też, że Krotoszyn i Koźmin, stojąc na wyżynie oczekiwań, stanowczo wystąpią przeciw tej kandydaturze. Nie na to bowiem wysełamy posłów do Berlina aby nas tam przed junkrami obmawiali, lecz bronili.

Podobno ludowcy pragną tam stawić obok dra A. Chłapowskiego na kandydata dr. Z. Skarzyńskiego ze Spławia, znanego ekonomistę i posła do parlamentu. Gorąco ich do tego zachęcamy.

W okręgu średzko- wrzesińsko-śremskim, gdzie wybiaramy trzech posłów, kandyduje poseł Głębocki, pos. ks. Stychel oraz pos. Szuman. Ze względu na sędziwy wiek, tego ostatniego w kołach wyborców noszą się podobno z myślą postawienia kandydatury p. Celichowskiego z Kórnika.

W okręgu średzko - wrzesińsko-śremskim, gdzie wybieramy trzech rawski ma wielu zwolenników. Zresztą w jednej części okręgu życzą sobie wyborcy dr. F. Niegolewskiego, w drugiej dr. Z. Skarzyńskiego. Zważywszy, że wyborcy w pleszewsko- jarocińskim z poważnych względów pragną stawić kandydaturę dra Sk., zapewne cały okręg jednomyślnie oświadczy się za dr. Niegolewskim.

O okręg gnieźnieńsko- witkowski — który kilkanaście lat temu należał do fortec naszych — istnieją uzasadnione obawy. Przy ostatnich wyborach poseł Leon Grabski zwyciężył tylko jednym głosem większości. Tu zatem trzeba jaknajwiększej czujności i obowiązkowości, by mandat ten w naszem ręku utrzymać. Na szczęście w Gnieźnie nie brak gorliwych i światłych obywateli, których przykład powinien podziałać na innych dodatnio. Zresztą ufamy, że i bez słów zachęty, stary gród Lecha spełni swój obowiązek.

Q.

Upadek socyalizmu w Poznaniu.

Przy ostatnich wyborach do parlamentu padło na kandydata socyalistycznego w Poznaniu dwa razy tyle głosów co przed pięciu laty a w niektórych miejscowościach Księstwa zaznaczył socyalizm swe istnienie kilku lub kilkunastu głosami. Fakt ten zastanowił a nawet zatrwożył wielu z pośród nas i niejeden patrząc na bujny i szybki rozwój socyalnej demokracyi wróżył i u nas ogromny przybytek socyalistycznych głosów wyborczych w przyszłości.

Ale ów przyrost socyalistycznych głosów w Poznaniu nie upoważniał do ponurych wróżb na przyszłość, jak się okazuje obecnie. Był on widocznie sztucznym a rozwój socyalizmu pozornym. Przypuszczamy, że jedynie dzięki potężnej agitacyi, która kosztowała *aż 4 marki* na głowę, udało się „towarzyszom" uratować pozory w Poznaniu. Nie mniej być może, iż za pomocą agitacyi „centralnego" związku zawodowego przyciągnięto przy wyborach pewną liczbę robotników do obozu towarzysza Gogowsky'ego.

Mamy niewątpliwy dowód, że wszystko to były „strachy na Lachy", że *socyalizm zrobił w Poznańskiem zupełne fiasco*, do czego partya sama przyznaje się szczerze, bez ogródki. Socyaliści rozwięzują swój komitet poznański, „towarzysz" Gogowsky i zapewnie inni czerwoni germanizatorzy poszukają sobie wdzięczniejsze pole działania, a ich „Gazeta Ludowa", o której istnieniu mało kto wiedział, zakończyła swój suchotniczy żywot.

Skałą, o którą rozbiła się agitacya socyalistyczna u nas, była polityka szczerze narodowa. Gdybyśmy żyli w erze ugodowej polityki i trzymali masy zdala od udziału w sprawach publicznych, nie rozbudzali w nich obywatelsko-narodowego ducha, agitacya niemiecko-międzynarodowych towarzyszy byłaby znalazła posłuch pomiędzy polskimi robotnikami, wbijała coraz głębiej klin pomiędzy wyższe a niższe warstwy i prowadziła zastępy naszego ludu w burzliwe wody międzynarodowości i bezwyznaniowości. Stojąc na gruncie narodowym, mówiąc do ludu słowami z pod serca wyjętemi tak, iż po trącamy o struny nam wszystkim wrodzone, mamy lud po za sobą, pod sztandarem narodowym.

Nieraz wskazywaliśmy na to, że polityka, którą żywioły konserwatywne zwą „radykalną," jest jedyną niemal tarczą przeciw zakusom partyi przewrotu i obecnie mamy na to dowód.

Bankructwo socyalizmu w Poznaniu otworzy oczy niejednemu z polskich robotników, zbłąkanych do obozu socyalistycznego, a tem więcej zachowanie się większości socyalistów, z Różą Luxemburg na czele, na zjeździe tej partyi w Dreźnie.

Na zjeździe tym między innemi kwestya polska była przedmiotem obrad. Referował w tej sprawie poseł *Gerisch* i oświadczył, że komitet partyjny usiłował doprowadzić do zgody z polskiem skrzydłem, tłomacząc mu, że kwestya narodowościowa nie ma nic wspólnego z walką klasową. Jednakże Polacy *nie chcieli wyrzec się swych narodowych dążności*. Dlatego stronnictwo odmówiło poparcia finansowego „Gazecie Robotniczej" w Katowicach. Chcąc mieć pewność, komitet żądał od kierowników polskiej partyi socyalistów podpisania dokumentu, w którym oświadcza, że polscy socyaliści nie dążą do odbudowania Polski.

Przeciw tej procedurze oświadczyli się „towarzysze" Haenisch i Katzenstein, który podniósł, że *widocznie zarząd pochwala ucisk polskiego ludu*. Szczególnie napiętnował tych germanizatorów i hakatystów socyalistycznych, poseł *Ledebour*, znany obrońca Polaków z okazyi sprawy wrzesińskiej w parlamencie, który zdradził, że protokół przedłożono Polakom za namową Róży Luxemburg. Wypracowała ona rezolucyą, która szła wiele dalej i *była wprost policzkiem dla Polaków*. Jest bowiem otwartą nieprzyjaciółką Polaków a mimo to — mówił Ledebour — udaje przedstawicielkę polskiej większości. Jest to „bajeczny *szwindel*." *Socyaliści w Poznańskiem mają wszystkiego dosyć i to nietylko Polacy*. Mówca odebrał list od niemieckiej komisyi rewizyjnej, która przeglądając książki pisma wydawanego przez Gogowsky'ego i Różę Luxemburg tj. „Gazety Ludowej" stwierdziła, iż *gazeta ma 37 abonentów!*

Na to towarzyszka Luxemburg miała tylko do powiedzenia, że poseł Ledebour — nie zna stosunków i wniosła rezolucyę, że „zjazd godzi się na traktowanie Polaków ze strony zarządu stronnictwa."

Wbrew wywodom posła L. słusznym i mądrym z punktu widzenia stronnictwa, *większość wiecowników przyjęła rezolucyą tę* przeciw Polakom.

Nie po raz pierwszy wychodzą szydła z miecha ile warci są niemieccy socyaliści dla Polaków, a przecież Polacy wieszali się i trzymali się ich fałd. Pocieszającym objawem przy tem jest, że zachowali pewien cień *godności człowieczej i narodowej*, domagając się od swych niemieckich „towarzyszy" i zarządu stronnictwa uwzględnienia swej odrębności rasowej i poszanowania tejże. Dlatego też mamy nadzieję, że wybrną z tej toni, w której prawie każdego Polaka czeka — już nie tylko utrata poczucia narodowego i religijnego, o które socyalistom nie chodzi, ale i tego, o co socyaliście i każdemu chodzić powinno tj. utrata godności człowieczej i charakteru. Wyrzekając się przyrodzonych, wyssanych z mlekiem matki idea-

łów dla przyjemności Róży Luxemburg i socyalistycznej hakaty, muszą w wirze tego stronnictwa zwichnąć i spaczyć się tak, że mędrsi i szlachetniejsi z pośród socyalistów za nic by ich nie mieli.

Może nareszcie, po tem nowem doświadczeniu, przejrzą polscy socyaliści i odczepią się od ciała niemieckiego socyalizmu. Gdyby zaś mieli zdobyć się na tyle samodzielności, przekonaliby się niebawem, że niektóre a ważne z ich postulatów znajdują żywe echo pomiędzy Polakami, miłującymi człowieka i wolność. Wówczas przyłączyliby się do tych, do których woła ich głos krwi, i w ich gronie poczuliby się — u siebie.

Ordon.

W sprawie Polskiego Związku Zawodowego

Polski związek zawodowy, który w zaraniu swego istnienia doznał niemało przeszkód, wyszedł z walki wzmocniony na duchu i stara się obudzić czujność robotników polskich i przyciągnąć ich do siebie.

W tym celu zwołano w zaprzeszłą niedzielę wiec w Bazarze, na którym przy licznym udziale osób wygłoszono dwa odczyty: o potrzebie i celach związków zawodowych i o stanowisku polskiego związku zawodowego. Referentami byli pp. Nowicki i dr. C. Rydlewski, który odczytał następujące rezolucye:

„Biorąc pod rozwagę położenie ludu pracującego oraz społeczeństwa polskiego w zaborze pruskim, zebrani na wiecu w Poznaniu dnia 20 września 1903 r. obywatele Polacy przychodzą do przekonania, że:

1) organizowanie się pracobiorców w związki zawodowe jest koniecznością.

2) że łączenie się we wspólne związki z obcoplemieńcami nietylko zawiera poważne niebezpieczeństwo dla narodowości polskiej i wiary katolickiej, ale także jest szkodliwem pod względem ekonomicznym,

3) że odrębne organizacye polskie bynajmniej nie wykluczają koniecznej solidarności z obcoplemieńcami ani też nie przeszkadzają pomyślnemu rozwojowi sprawy robotniczej.“

„Przekonawszy się, że dotychczasowy rozwój polskiego związku zawodowego daje gwarancyę, iż odpowiada i odpowiadać będzie mógł wymaganiom czasu i spełniać równie dobrze swoje zadania jak i związki obce, zebrani jedynie polskie związki polecać mogą i wzywają wszystkich pracobiorców polskich do jaknajliczniejszego przystępowania do tychże organizacyi. Zarazem wyrażają przekonanie, że duchowieństwo nasze nie będzie przeszkadzało rozwojowi związku polskiego, ale owszem popierać i zalecać go będzie.“

Zalecało-by się, aby z ramienia związku urządzano takie wiece agitacyjne także na przedmieściach i w miasteczkach zamieszkałych przez większe grona robotników jak n. p. Gniezno, Inowrocław, Kruszwica, Żnin, Leszno i t. d. Robotnicy tamtejsi pozostawieni sobie i odsunięci od życia społecznego pulsującego w Poznaniu, potrzebują więcej oświaty, aniżeli Poznańczanie, a nie znajdując jej od swoich gotowi dać się wciągnąć w związek socyalistyczny lub chrześcijański, z którego trudno wydobyć robotnika co składkował do odnośnej kasy. Dla tego związek polski winien rozwinąć sprężystą działalność, by nie ubiegły go niemieckie związki. W ten sposób zapewni sobie rozwój i zeszeregowując polskich robotników, uratuje wielu od wpływów germanizacyjnych.

Z drugiej strony światlejsi robotnicy na prowincyi winni sami zgłaszać się do polskiego związku po wyjaśnienie celów i zadań tegoż. Słowa poety: „minął wiek złoty, uczyć się trzeba“ znajdują zastosowanie także do stanu robotniczego; musi on uświadomić swe położenie, zrozumieć swój interes i łączyć się w organizacyę.

Co się tyczy wieca poznańskiego ubolewać trzeba nad hałasami, które podnosiły się ile razy zabierał głos opozycyonista. Hałasy takie nie świadczą dodatnio o wyrobieniu wiecowników. Na wiecu każdemu przysługuje prawo wygłoszenia swych zapatrywań i prawo to należy szanować bez względu na to czy mówiący jest tego samego zdania co my, czy przeciwnego. Zresztą przez ścieranie się zdań rozjaśnia się kwestya i słuchacze uczą się myśleć krytycznie, wyrabiają sobie zdrowy i wytrawny sąd.

Robotnicy w Poznaniu, są dość obyci z wiecami, aby zachować się sfornie przy przemówieniach przeciwników, i dość wyrobieni umysłowo, aby nie dać się byle czem odwieść od swego zdania. Przez hałasowanie zaćmiewają swoją sprawę i nie oddają usługi Polskiemu Związkowi zawodowemu, któremu tak ze względów na byt materyalny robotników jak narodowy życzymy powodzenia.

W.

Korespondencya.

Kraków, dnia 26-go września.

(Pogrzeb zwłok Siemiradzkiego. — Przerwana sesya sejmowa. — Nowy czyn niepatryotyczny galicyjskiej Rady szkolnej. — Z naszej biedy.)

Jesteśmy tu pod wrażeniem rzewnej a wspaniałej uroczystości, jaką stał się dla nas powtórny pogrzeb zwłok wielkiego naszego artysty Henryka *Siemiradzkiego*, a raczej złożenie ich w grobie zasłużonych na *Skałce*. Uroczystości takie, to nietylko akty wdzięczności dla zgasłych gwiazd narodu, to zarazem wielkie duchowe uczty zbratania się w jednem uczuciu i jednym uścisku rozdzielonych przemocą części Polski. I wy zapewne w dniu tym duchem byliście z nami. Jesteśmy o tem przekonani, chociaż liczniejszych reprezentantów wielkopolskiego społeczeństwa niestety nie dostrzegliśmy na tym żałobnym obrządku.

Odbył się on w ubiegłą sobotę. Dekoracyi kościołów, ulic, karawanu, chorągwi i wieńców opisywać wam nie będę, bo to rzeczy zwykłe w takich razach, powtarzające się zawsze w takiej samej lub podobnej formie. Zewnętrzna strona takich uroczystości nie oznacza zresztą nigdy dokładnie ich znaczenia i wartości dla społeczeństwa. Ilustruje to już wierniej i wyraźniej żywe słowo, jakie podczas nich pada z ust mówców. A mów było dużo na tej uroczystości, mów pięknych, szczerych w każdem zdaniu.

Już kaznodzieja, który zwłoki Mistrza żegnał w kościele Maryackim, Ojciec *Anioł*, kapucyn, sławił Opatrzność, że i w upadku zsyła nam dzielne syny, roznoszące po świecie sławę polskiego imienia. W imieniu *miasta* przemówił przed kościołem nasamprzód prezydent *Friedlein.* I on uczcił w zmarłym męża opatrznościowego, wyszczególniał jego zasługi. A w końcu w te odezwał się słowa:

„Gdyby nie smutek i żal głęboki, przejmujący serce na widok zwłok tak wcześnie zgasłego, wielbionego mistrza i obywatela, to mógłbym być dumnym, że na mnie przypadło przyjąć te szczątki w murach miasta naszego, niegdyś siedziby królów, dziś wiernej strażnicy ich drogich popiołów. Znajdą one schronienie i spokój wśród mężów zasłużonych narodu, znajdą bezpośrednią troskliwą opiekę pod okiem zacnych i pobożnych kapłanów górującej nad grobowcem świątyni. Tam podąży za niemi tęskne westchnienie i wdzięczna pamięć rodaków, ilekroć razy oko ich spocznie na dziełach wielbionego mistrza.“

Następnie zabrał głos dyrektor muzeum narodowego dr. *Kopera*, aby w krótkich słowach podnieść zasługi zmarłego około tej instytucyi, która słusznie uważa go za swego założyciela.

U wrót Skałki oczekiwał na kondukt żałobny przeor zakonu *Paulinów*, ks. Gliwa. Witając te szczątki śmiertelne wielkiego syna ojczyzny, oddawane pod opiekę zakonu, a tak drogie narodowi, przypomniał obecnym, że jeszcze jeden wielki duch polski oczekuje daremnie chwili, w której prochy jego spoczną na ziemi ojczystej, mianowicie Juliusz *Słowacki*. Następnie w imieniu Akademii sztuk pięknych przemawiał dr. Konstanty *Górski*. Mówca przedstawił obszernie artystyczną działalność zmarłego. a potem złożył hołd najpiękniejszej stronie jego duszy i żywota, gorącemu poczuciu narodowemu.

Ostatnim mówcą był reprezentant *młodzieży polskiej*, prezes Czytelni Akademickiej p. *Lubecki*. Mówił pięknie a rzewnie — mówił z serca do serc — a tak zakończył swą mowę:

„Z tych laurów, które się dzisiaj na trumnę jego, zamiast grudek ziemi, sypią, nic najmniej piękne i miłe są laury od młodzieży. Bo to zadatek jego długotrwałej na przyszłość sławy, wielbiącego uznania ze strony najmłodszego pokolenia. Sława przyszłości, oczyszczona z przymieszek i coraz dalsza, i coraz bardziej uduchowniona, staje się dopiero nagrodą, godną wzniosłego ducha. Ze sławą, z latami, dzieje się, jak z kwiatami: że dojrzewają w owoce, pełne szlachetnych nasion. Będzie miał taką Siemiradzki: będzie miał sławę, na zawsze skojarzoną ze czcią dla niego. A słowa młodzieży niech grają nad grobowcem jego, jak muzyka przyszłości.“

Do grobu zasłużonych na Skałce nowa tedy przybyła trumna, nowy pomnik niespożytego nawet w najsroższych nieszczęściach ducha narodu.

Właściwie powinienem poprzestać na tych krótkich wspomnieniach z pięknego obrządku — bo jak tu od tej chwili, w której dusza wzbijała się wysoko ponad troski i smutki codzienne, powracać do naszej nędzy, naszych utrapień krajowych? Lecz trudno, życie ma swoje prawa, a żąda spełnienia obowiązków od wszystkich, nie wykluczając bynajmniej kronikarzy i dziennikarzy, piszących niejako bieżące dzieje narodu. — I mnie nie wolno notować tylko chwile wzniosłe, a pomijać przykre i bolesne.

Wróćmy więc do życia. Toczy się ono dla nas bez przerwy po ostrej, dokuczliwej grudzie, a nadziei polepszenia stosunków naszych jak niema, tak niema. *Sejm* nasz, zaledwie rozpoczął swe prace, zniewolony był je przerwać, bo rząd powołał posłów z Rady państwa do Wiednia, aby tam uchwalili mu nowy kontyngent rekrutów. Niestety, zaznaczyć tu trzeba, że *wielcy* nasi politycy parlamentarni rozwinęli tam większą gorliwość dla Austryi, niż okazują ją tu, *w kraju dla kraju*. Szczęście jeszcze, że ta przerwa w sesyi sejmowej nie trwała długo, że już się skończyła, i że okoliczności nie dały naszym wielkościom w Wiedniu jeszcze więcej pola do austryacko lojalnych popisów.

Dzieją się u nas rzeczywiście rzeczy, którychbyście wogóle nie uważali za możliwe. Niedawno w szkole przemysłowej we Lwowie zniesiono naukę *historyi polskiej*. Oburzyła się na to opinia, więc prezydyum Koła na żądanie dwóch dzielnych posłów demokratycznych *Stwiertni* i *Rottera* udało się do ministra oświaty pana *Hartla*, notabene wyjątkowo uczciwego i bezstronnego Niemca, z zapytaniem, co spowodowało dziwne to zarządzenie? Tymczasem pan minister zdumiał się bardzo, usłyszawszy tę skargę. „Ani mi przez myśl nie przeszło — rzekł — ograniczać w szkołach naukę historyi polskiej. Nic też o tem nie wiem. To zarządziła samodzielnie *wasza galicyjska — polska rada szkolna*. Zbadam tę sprawę i dam wam odpowiedź zadowalającą.“ A więc minister Niemiec musi u nas przywracać ten ważny przedmiot nauki — zniesiony *przez polską* władzę szkolną. Komentarze tu zbyteczne.

A teraz jeszcze przykład naszej *niezaradności ekonomicznej*. Koło polskie porusza niebo i ziemię, ażeby zmusić rząd do zaopiekowania się galicyjskim *przemysłem cukrowniczym*, zagrożonym przez konkurencyę niemiecką, mianowicie cukrownię w *Przeworsku*. Jedno z pism lwowskich propaguje nawet myśl kartelu, któryby zmuszał ludność polską moralnie do kupowania tylko *przeworskiego cukru*. Tymczasem ankieta zarządzona przez inne pismo u kupców krakowskich okazała, że ten Przeworsk, ta polska cukrownia, *wcale niedba o polskich odbiorców*, że się o nich nie stara, że spekuluje tylko *„na eksport.“* Difficile est satiram non scribere.

Krakowianin.

Z tygodnia.

I dzisiejszą naszą kronikę polityczną „Z tygodnia“ rozpocząć nam wypada od *Austryi* i od *Galicyi*. Rząd austryacki zbiera już bowiem plony podróży cesarza *Franciszka Józefa* do *Lwowa*. Gdyby nie Koło polskie w Wiedniu, rząd austryacki miałby wielki kłopot z armią i stałby wobec Węgier i dziś jeszcze bezsilny a bardzo — zblamowany.

Wiadomo już z poprzednich kronik naszych, że armia austro-węgierska pozostała bez rekrutów na rok przyszły. Nowa ustawa wojskowa, przyjęta przez parlament austryacki w lutym rb., która przyznawała rządowi z samej tylko Austryi 12000 (z całej monarchii 20,000) rekrutów więcej, niż dotychczas corocznie wybierano, nie weszła dotychczas w życie, bo nie uchwalił jej jeszcze parlament węgierski. Austryacka Rada państwa zastrzegła to zaś w osobnej klauzuli, że dopiero z chwilą uchwalenia ustawy także na Węgrzech, może ona uzyskać prawomocność. Rząd nie chcąc osłabiać czynnego stanu armii, pomógł sobie w ten sposób, że zatrzymał nadal w służbie tych żołnierzy trzeciorocznych, którzy teraz powinni byli wrócić do domu. Zarządzenia te wywołały atoli ogromne wzburzenie tak wśród tych żołnierzy jak i wśród ludności. Zachodziły wypadki otwartego buntu w wojsku a równocześnie cała prasa zaczęła się dopominać natychmiastowego zwołania parlamentu. Rząd który z początku wahał się — uległ wreszcie tym żądaniom. Jakkolwiek obradują właśnie sejmy krajowe, zawołał parlament i przedłożył mu ustawę tej mniejwięcej treści: Jeżli przyznacie mi zwiększony kontyngent rekrutów, bez względu na Węgry, rozpuszczę natychmiast trzeciorocznych żołnierzy. Lecz z parlamentem austryackim nie łatwa sprawa. Zaledwie się zebrał — natychmiast rozpoczęły się zwykłe spory między *Niemcami* a *Czechami*. Jedni i drudzy zapragnęli poszczycić się przed wyborami, że to oni zmusili rząd do cofnięcia niepopularnych owych zarządzeń; Czesi nadto zamierzali dać uczuć rządowi, jak bardzo jest od nich zależny. Już w pierwszym dniu nowej sesyi było widocznem, że ustawa rządowa nie uzyska większości, Czesi bowiem postawili rzecz tak: „Najprzód zwolnijcie trzeciorocznych żołnierzy, a potem dopiero pogadamy o *zwykłym* kontyngencie rekrutów; na zwiększony zaś rząd wogóle niech nie liczy.“ Rozpoczęły się targi i rokowania; to za czem przemawiali Niemcy, wywołało obstrukcyę po stronie Czechów, żądania czeskie napotykały znów na obstrukcyę Niemców. I zanosiło się już na to, że parlament rozjedzie się nic nie uchwa-

liwszy, gdy wdało się w tę sprawę *Koło polskie.* Przywódzcy Koła biegali od rana do nocy od jednej strony do drugiej, prosili, zaklinali, no i ostatecznie dopięli celu. Parlament uchwalił dotychczasowy kontyngent rekrutów, a w perspektywie nawet i zwiększony. Rząd zaciera ręce z radości, ściska dłonie Polaków — a z wielkiej wdzięczności.... nowe robi trudności przy wymiarze zapomóg państwowych dla ludności Galicyi, dotkniętej ostatniemi klęskami powodzi i nieurodzaju. Tak bywa zawsze w Austryi.

Trudniejszą sprawę ma rząd *wspólny austro-węgierski* zawsze jeszcze z *Węgrami.* Tu bowiem tylko pośrednio Polacy pomagać mu mogą. Aby złagodzić wzburzenie wywołane stanowczym rozkazem dziennym do armii, o którym pisaliśmy w przeszłym numerze, *cesarz Franciszek Józef* wystósował pismo odręczne do intermistycznego węgierskiego prezydenta gabinetu hr. *Khuena Hederwarego,* w którem wprawdzie obstaje przytem, że wojskowych żądań węgierskich spełnić nie może, ale równocześnie apeluje do serca i wierności narodu węgierskiego. Równocześnie mianował hr. Khuena ponownie aktywnym prezydentem gabinetu. Pismo to odniosło ten skutek, że węgierskie stronnictwo rządowe, któremu już groziło rozbicie, znów się silniej spoiło i stanęło odważnie po stronie korony, *ale opozycyi nie przejednało.*

Na posiedzeniu parlamentu węgierskiego, na którem hr. Khuen odczytał pismo cesarskie, przyszło do scen skandalicznych. Ministra zelżono, znieważono, padały nawet okrzyki, obrażające wprost monarchę. Nowe burze przyniesie nam tydzień bieżący. O rychłem załatwieniu przesilenia na Węgrzech na razie więc jeszcze ani mowy być nie może. A chociaż obawa otwartej rewolucyi znikła już zupełnie, to jednak przesilenie to dużo jeszcze kłopotu i zmartwienia sprawi sędziwemu monarsze austro-węgierskiemu.

Na razie w tym tygodniu, nie może on się bliżej zająć węgierskiemi sprawami, gdyż przyjmuje w *Wiedniu nowego koronowanego gościa.* Car *Mikołaj,* w swej podróży do *Rzymu* przybył do Wiednia w środę. Wjazd jego odbył się uroczyście, ale nie tak wspaniale, jak wjazd cesarza Wilhelma, zastósowano przytem wyjątkowe środki ostrożności. I ta wizyta ma wielkie polityczne znaczenie, które atoli nas Polaków bezpośrednio *nie dotyczy.* W naradach, jakie w Wiedniu toczyć się będą między obu ministrami oraz ich ministrami spraw zagranicznych, hr. *Gołuchowskim* i *Lambsdorffem.* głównym, a zapewne nawet jedynym przedmiotem będzie *sprawa bałkańska.* Dziś już zresztą wiemy, co tam uradzą, bo zarówno *Austrya* jak i *Rosya* w osobnych komunikatach w ostatnich dniach określiły swoje stanowisko w tej sprawie. Rządy obu mocarstw uważają zawsze jeszcze powstanie w *Macedonii* i *Rumelii za przedsięwzięcie zbrodnicze,* odmawiają mu wszelkiego poparcia i z góry zapewniają uroczyście, że nie pozwolą na jakąkolwiek zmianę politycznych i terytoryalnych stosunków na Bałkanie. Macedonia ma i nadal pozostać *prowincyą turecką,* ma jedynie otrzymać pewien samorząd. Dalej zwracają się oba państwa z ponownem szorstkiem napomnieniem do *Bułgaryi,* ażeby nie ważyła się wypowiadać wojny Turcyi, gdyż na żadne poparcie Europy liczyć nie może.

Komunikaty te sprawiły w Bułgaryi wprost przygnębiające wrażenie. Oznaczają one nie mniej nie więcej, jak zupełne wydanie Bułgarów w Macedonii i Rumelii *na łaskę i niełaskę Turcyi.* Rząd turecki wprawdzie, pod naciskiem mocarstw przystąpił do rządu bułgarskiego z propozycyą, ażeby oba rządy wspólnie starały się uspokoić Macedonią i to wspólnie uchwalonemi reformami. Rokowania odnośne są już w pełnym biegu. Możliwość wojny między Bułgaryą a Turcyą zdaje się być na razie *usunięta,* ale mimo to o najbliższej nawet już przyszłości przesądzać nie można. Powstańcy macedońscy nie zważają bowiem na żadne przestrogi i nagany mocarstw, na żadne zjazdy monarchów i rokowania dyplomatyczne, lecz dalej toczą zaciętą walkę; władze i wojska tureckie zaś mimo wszelkich przeciwnych rozkazów sułtańskich dalej dopuszczają się niesłychanych okrucieństw. I łatwo być może, że ostatecznie fakta przekreślą znów wszelkie zamiary i plany dyplomacyi.

Car z Wiednia udaje się do *Rzymu,* z wizytą do króla *włoskiego.* Jeżli wierzyć można radykalnej prasie włoskiej, to czeka go tam nie zbyt serdeczne przyjęcie. *Socyaliści* włoscy zapowiadają, że powitają cara wrzawą i świstaniem, że urządzą demonstracye, któremi zaprotestują przeciwko rządom carskim w Rosyi i gwałtom popełnianym przez władze rosyjskie na robotnikach podczas strejków. Ciekawa rzecz, czy policyi włoskiej powiedzie się zapobiedz tym anticarskim demonstracyom? Car złoży także wizytę *Papieżowi Piusowi X.,* który przyjmie go z honorami, należącemi się monarchom niekatolickim. Czy przytem będzie mowa także o kościele w *Polsce* — trudno przewidzieć, ale — możliwość taka nie jest wykluczona.

Natomiast prezydenta *Francyi Loubeta,* który za kilka miesięcy wybiera się do Rzymu, Ojciec św. *nie przyjmie.* Zapewniają to uroczyście wszystkie pisma katolickie, utrzymujące bliższe stosunki z Watykanem. Pius X. postąpi pod tym względem zupełnie słusznie. Rząd francuski bowiem zdradza już wprost chorobliwą nienawiść do wszystkiego co katolickie. Niedawno w Chinach pewien porucznik marynarki francuzkiej, obronił na własną rękę od niechybnej śmierci kilku francuzkich misyonarzy, oblężonych przez powstańców chińskich. Zamiast uznania otrzymał za to od ministra marynarki *wygowór.* Gdy zaś komenderujący chińską eskadrą francuzką admirał ujął się za porucznikiem, złożono go z urzędu i odwołano. Głowa rządu tak postępującego, tak przytem zwalczającego Kościół w kraju, nie może mieć chyba pretensyi, ażeby przyjmował ją uroczyście Namiestnik Chrystusowy.

Francyi grozi obecnie zatarg z Hiszpanią o sułtanat *marokański* w Afryce. Jak się ta sprawa skończy na razie jeszcze trudno przewidzieć.

W *Niemczech* panuje spokój, ale spokój nie wesoły, nawet cierpki i przykrzejszy pod niejednym względem od otwartej burzy. Wszyscy czują, że obecne rządy prowadzą państwo na manowce, ale naród rozbity na partye nie może się zdobyć na nadanie polityce wewnętrznej i zewnętrznej innego kierunku. Niepewność co do traktatu handlowego z *Rosyą* ciąży dotkliwie na ekonomicznem życiu i ruchu narodu, zapowiedź nowych ciężarów wojskowych także płacącym podatki nie poprawia humoru. Charakterystyką obecnej sytuacyi wewnętrznej w Niemczech są liczne procesy *polityczne.* Rząd zwalcza nieprzychylną sobie opinią za pomocą prokuratoryi. Mieliśmy w ostatnim czasie kilka procesów *polskich,* kilka *socyalistycznych* no i procesy o *maltretowanie żołnierzy,* które wprost straszne odsłoniły szczegóły. Procesy te znajdą głośne echo zarówno w parlamencie jak i sejmie — gdzie zapewne i nasi posłowie nie omieszkają wytoczyć znów rozlicznych *krzywd naszych.*

M. O.

Przegląd prasy.

Co sądzą Niemcy o *wyniku procesu wrzesińskiego* w Gnieźnie nie łatwo sie dowiedzieć. bo zaledwie jedna i

druga gazeta uważała za stósowne wspomnieć o tej sprawie sądowej. Ale berlińska *„Tägl. Rundschau“* robi wyznanie, które niezawodnie jest wyrazem opinii niemieckiej, pisząc:

„U wielu istnieć będzie przekonanie, że przez ten proces nie pomogło się sprawie niemieckiej. Dla tego radziłoby się ,aby w przyszłości dokładniej obliczano wszelkie konsekwencye zanim się wdroży proces przeciwko ludziom, których później trzeba bez ukarania wypuścić. W przeciwnym bowiem razie wzmacnia się przekonanie u panów Polaków, skłonnych i tak już do iluzyi, że są barankami niewinnymi, którzy pokutować muszą za grzechy tego oprawcy w postaci państwa pruskiego.“

„Ładne wyznanie! — nadmienia „Kur. Pozn.“

Nieuleczalny w obłędzie hakatystycznym *„Pos. Tag.“* nazywa mec. Lenzmanna „ein Ehrenpole“ i proces zbywa takiem machnięciem ręki:

„niech sobie będą uwolnionymi członkowie komitetu w liczbie 13, agitacya polska swoją drogą skazaną została.“

Otóż właśnie agitacya polska nie została skazaną! Ostatecznie nawet „Pos. Tag.“ w jaśniejszej chwili wyznaje, że Niemcy ponieśli klęskę, a Polacy odnieśli moralne zwycięztwo. Natomiast grudziądzki „Geselliger,“ który szczegółowo referował o procesie, nie tai swego niezadowolenia i podsuwa prokuratoryi, że powinna była ścigać komitet za to,iż przez fundusz swój zachęca dzieci wrzesińskie do oporu przeciw władzy szkolnej.

Prasa polska przyjęła wyrok z niemałem zadowoleniem tak iż *„Dzien. Pozn.“* ostrzega przed tryumfowaniem:

„Nie święćmy tryumfów czczych, ale tem gorliwiej, a zgodniej weźmy się za ręce do pracy na każdem polu, skoro się wykazało, że pomimo wszelkiego ucisku nie jesteśmy urodzonymi kajdaniarzami, pozbawionymi prawa do pomagania samym sobie, skazanymi z góry na karę.

„A wstyd z tej sprawy pozostawmy pp. hakatystom, którzy tak dalece bagatelizowali całą sprawę, że nie mieli na procesie sprawozdawców, a ci co byli, po części referować woleli o *robactwie więziennem*, jak o krzywdzie, która nam się dzieje i która przez niesprawiedliwy wyrok stać by się nam mogła.“

A *„Dzien. Berl.“* ostrzega przed złudzeniami:

„Nie łudźmy się, że tak marny rezultat będzie dla władz pruskich odstraszającym przykładem na przyszłość, ale cieszmy się jednak, bo ten proces był czemś więcej niż zwykłym procesem. Obojętną była tu już wreszcie kwestya, kto mianowicie, lub na jak długo zostanie skazany, bo szło tu o rzeczy zgoła ważniejsze; stanęły tu do walki już nie osoby, lecz systemy, powiedzmy wprost dwa wzajemnie się wyłączające światopoglądy: z jednej strony: zimna, nieubłagana, czysto pruska racya stanu żądająca ciągłych ofiar, której tu zresztą charakteryzować już chyba nie potrzeba — z drugiej strony — to wszystko co działa — choć czasami pozornie i drzemie — na dnie duszy każdego niezupełnie zepsutego człowieka, owo z krzyża Zbawiciela się wywodzące święte uczucie ogólno ludzkiej solidarności wzmocnione nie mniej świętem uczuciem patryotyzmu i solidarności narodowej. Możemy być dumni, że z takiego pojedynku nasza godność polska wyszła zwycięzką i moralnie pokrzepioną.“

W istocie hakata ani na chwilę nie ustaje w swej kreciej i jawnej robocie. Po znanej broszurze Herra, ktoś inny w berlińskiej *„Post“* przekręca prawa i konstytucyę, dając rządowi pod rozwagę taki projekt:

„1) Każda osoba urodzona po roku 1870 musi wobec urzędów i sądów mówić po niemiecku, a w razie jeśli podaje, że dostatecznie wysłowić się nie umie, małą opłatę, może 20 fen. na tłomacza złożyć.

2) Wszystkim urzędnikom włącznie przełożonych gmin i urzędników stanu, musi być zakazanem mówienie w urzędzie po polsku i nakazanem, by w razie potrzeby za opłatą wymienioną pod numerem pierwszym tłomacza przywoływali.

3) Dzieci rodziców polskich, które przy wejściu do szkoły rozumieją nieco po niemiecku, co dowodzi, że w domu po niemiecku z niemi rozmawiają, odbiorą nagrodę odpowiedniej wartości.

4) Wszyscy urzędnicy muszą odebrać nakaz rozmawiania tylko po niemiecku i po za urzędem z Polakami.“

W tym guście rozpisuje się karyerowicz — hakatysta, któremu wawrzyny pana Herra nie dają spać.

Mimo częstego nawoływania ze strony prasy do czujności i obowiązkowości przy wyborach lokalnych jak n. p. do izb rzemieślniczych, dozoru szkolnego, izby handlowej komitety prowincyonalne nieraz zasypiają sprawę. I tak w *Krotoszynie* do wyboru dozoru szkolnego stawili się wszyscy Niemcy a tylko *siedmiu Polaków*, chociaż uprawnionych było blizko 1000. Na szczęście — jak piszą z Krotoszyna do „Gońca W.“ — dwa dni później zbudziła się czujność i przy wyborach na reprezentantów szkolnych obrano samych Polaków.

Ale jakże smutne wystawiliśmy sobie świadectwo przy *wyborach do izby rzemieślniczej!* Jak *„Dzien. Pozn.“* zapisuje:

„Prawie we wszystkich okręgach zwyciężyli kandydaci niemieccy tak iż do izby rzemieślniczej na 15 członków wybrano tylko dwóch Polaków, do wydziału czeladniczego tylko jednego reprezentanta czeladzi polskiej, podczas gdy dawniej przynajmniej w tym wydziale była większość po naszej stronie.“

Najważniejszym wypadkiem w dziedzinie polityki jest *zjednoczenie* bytomskiego *Tow. ludowego* czyli stronników „Katolika“ *w Tow. wyborczem.* Gazety wszystkich odcieni wyrażają z tego powodu niezmierną radość, poczytując to za fakt ogromnego znaczenia w dziejach polskości na G. Ślązku. Jak piszemy na innem miejscu, oba te towarzystwa zlewają się w jedno i z łona ich wyjdzie komitet wyborczy prowincyonalny na G. Ślązk. Nadto obiega wiadomość, że *poseł Królik* z stronnictwa „Katolika“, który miał wstąpić do obozu centrowego, przystąpi do Koła polskiego. Byłoby to dalszym, pomyślnym objawem zupełnego zjednoczenia wszystkich żywiołów polskich pod wspólnym sztandarem.

O radosnym tym fakcie czytamy w *„Górnoślązaku“:*

„Przejście „Katolika“ do obozu narodowego wywołało wielką radość w całej Polsce. I my zaznaczyliśmy w poprzednim numerze nader doniosłe znaczenie kroku tego dla całego ruchu polskiego na Górnym Ślązku. W tej sprawie nie może być dwóch zdań, zerwanie „Katolika“ z centrum *popchnie sprawę naszą naprzód,* będziemy mieli odtąd na Górnym Ślązku jeden karny obóz narodowy, który jednomyślnie pracować będzie nad niesieniem oświaty i dobrobytu wśród naszego ludu, odpierając wszelkie zamachy skierowane przeciwko jego narodowości i religii. Z tego nie wynika bynajmniej, abyśmy w poszczególnych sprawach byli wszyscy jednego zdania. Przeciwnie, będą i nadal rozmaite zapatrywania, ale wszelka dyskusya odtąd toczyć się *będzie na podstawie narodowej.* Dotąd toczono spór o to, czy nasi posłowie mają wstąpić do niemieckiego stronnictwa centrum, czy też do „Koła Polskiego“. Obecnie spór ten, dzięki Bogu, szczęśliwie dla nas się zakończył, nie ma już teraz żadnej gazety polskiej na Ślązku ani żadnego Polaka, któryby nadal ślubował posłuszeństwo Niemcom centrowcom.“

Obok tej upragnionej wiadomości z G. Ślązka zapisać nam wypada — *drugi proces* z powodu rozruchów w *Hucie Laury,* za które już skazanych zostało 60 ludzi na 43 lata więzienia $7^1/_2$ miesiąca.

Redakcya.



MARSYLJANKA.

Obraz Izydora Pils'a.

DRUKIEM „PRACY“.

Dział illustrowany.

Z OJCZYSTYCH STRON.

Listy z nad jezior mazurskich.

II.

(Szczytno. — Na targu. — W zborze. — „Pan ksiądz.“ — Germanizacya przez kościół. — Psałterz Koellinga.)

Szczytno — więzienie sienkiewiczowskiego Juranda — to skromna mieścina, usłana nad niewielkiem jeziorem, którego jedna część dzieli je od przedmieścia zwanego Bartnikami (Beutnersdorf) czyli „Bartną stroną.“ Miasto samo nie liczy więcej nad $3^1/_2$ tys. mieszkańców, Bartniki zaś około 4. Jak snadnie się domyślić, w czasach gdy puszcza leśna pokrywała mazurską płaszczyznę gnieździła się tu kolonia bartników. Zda się, że polska nazwa jeziora Haus-see zupełnie zanikła. O ile się przekonałem lud zwie je po prostu jeziorem.

W Bartnikach wznosi się dumnie kościół katolicki z potężną wieżą w banalnym gotyku, w sercu Szczytna zaś mieści się zbór z dość oryginalną kopułą, przypominający zdala cerkiew. Dumą miasta jest duże seminaryum nauczycielskie, sąd i — batalion wojska.

Główna, ładnie zadrzewiona ulica jeszcze kilka lat temu zwała się „polską.“ Ponieważ jednak zaleca się, aby Mazur zapomniał o istnieniu wszystkiego co polskie, a przypominał sobie jaknajczęściej osobę cesarza, przechrzcono ją na „Kaiserstrasse.“ W przedłużeniu tej ulicy ciągnie się rynek, ujęty w dwa półkola jedno piętrowych, szarawych kamieniczek i dobiegający końca u pamiątkowej statuy z ostatnich dwóch wojen. Wyryto na niej nazwiska żołnierzy z tej okolicy, którzy przelali krew „za cesarza i państwo,“ a są to niemal wyłącznie spaczone nazwiska Bartków Zwycięzców. I tak czytamy: Bialowons, Czayka, Dorsch, Fronczek, Kolodzey, Gorontz obok nazwisk jak Chrzanowski, Chmielewski, Chludzinski. Ale nazwiska te nic Niemcom nie mówią, nie przypominają im długu wdzięczności, jaki zaciągnęli wobec potomków tych, co za czasów wielkiego kurfirsta bohatersko stawali w obronie posad pruskich przeciw Francuzom i Szwedom i pod Sadową i Sedanem potykali się za ojczyznę swych ciemiężycieli. Ani promyk wdzięczności nie łyśnie dla Mazurów; gdyby wdzięczność ukazała się w Prusiech, zmobilizowano-by armię przeciwko egzotycznej bogini.

Po za pomnikiem widnieje wśród drzew dom magistracki, a w głębi kryje się starożytny dworzec z jednej strony okolony potężnym murem, z drugiej fosą. Na dziedzińcu wybrukowanym, trawą i mchem porosłym, rozsiadło się kilka wyniosłych klonów i, stróżując nad starą budowlą, zda się



Widok z okolic Szczytna.

szumem opowiadać coś o zamierzchłych czasach, gdy szczęk broni, rżenie rumaków i trąbki myśliwskie wnosiły tu romantyczne życie. Dziś wytynkowany dworzec — w którym mieści się urząd leśniczy — pogrążony w milczeniu, zasłuchany w echa przeszłości, roztęskniony.

Podanie niesie, że zamek ten miał odnaleść pewien myśliwy imieniem Ortels, ścigając jelenia w lesie dziewiczym. Zamek był pusty, niezamieszkały i otoczony zaledwie kilku domami. Od tego myśliwego miejscowość miała otrzymać swą nazwę, a przemawia za tem przynajmniej to, że w herbie miasta figuruje jeleń wyskakujący z zarośli. Tak opowiadają annale w urzędzie powiatowym w Szczytnie. *)

W pojęciu okolicznych mieszkańców ów Ortels był krzyżackim raubritterem, bo w wyobraźni ludu każdy rycerz niemiecki ma coś z rozbójnika.

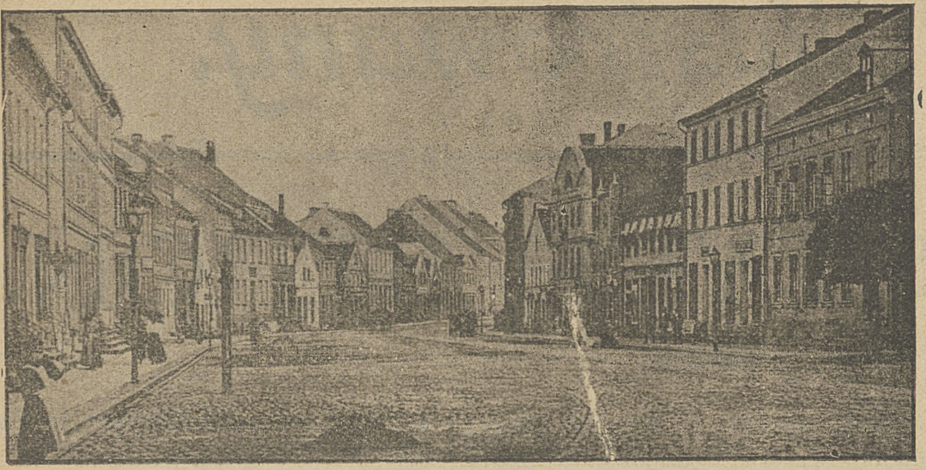
Najprawdopodobniej miasto Ortelsburg — dawniej Ortolfsburg — — nosi miano od swego założyciela, komtura z Elbląga i przełożonego Braci Szpitalnych Ortolfa von Trier. Zamek ten, o którym wspominają już kroniki z połowy czternastego stulecia, służył za schronisko myśliwskie rycerzom czarnego krzyża.

Miasto zyskało na znaczeniu po drugim pokoju toruńskim w r. 1466, gdy gościniec wiodący z Królewca do Warszawy ożywił się, i zamarło dopiero po upadku Polski, gdy wyludniła się „droga warszawska,“ a obecnie nie posiada warunków rozwoju.

W dni targowe spotykamy na rynku prawie wyłącznie lud okoliczny, w który niekiedy wplata się jeden lub drugi chałaciarz z za kordonu, sprzedający ogórki, cebulę i inne jarzyny. Natomiast w innych bliżej granicy położonych miasteczkach roi się od żydów z Królestwa. Wśród ciżby wozów, koni, straganów i ludzi panuje wyłącznie język polski. Powiat szczycieński bowiem zamieszkuje przeszło 90 procent „Mazurów.“ Wprawdzie niemal każdy, zwłaszcza z młodszej generacyi, włada poprawnie językiem niemieckim, między sobą jednak posługują się tylko językiem ojczystym. Przechadzając się wpośród nich podpada, że nie spotykamy rurkowanych czepeczków, niebieskich sznurówek, czerwonych sukien i granatowych, długich „katan,“ jakie radują oko przed wiejskim kościółkiem wielkopolskim. Strój ludowy zanikł. Mazurzy pozują na mieszczuchów; przywdziani w szaraczkowe ubiory różnią się niewiele od ludu miejskiego. Jakoż obraz targu w Szczytnie utrzymany cały w ciemnym tonie.

Rozhowor tu nie lada. Wygadane

*) „Wierzenia Mazurskie“ podał dr. M. Toeppen, zpolszczyła E. Piltzówna. (Odbitka „Wisły“). Warszawa 1894.



Rynek w Szczytnie.

przekupki zachwalają potokiem słów swe długie, ciemne kołacze, tu baba kłóci się przy sprzedaży swego kwiczącego prosięcia, tam dwóch podchmielonych chłopów gwarzy głośno, aż nikną znowu w szynku.

Środkiem tego obozowiska przesuwają się trzy wóziki. Świątecznie przyodziani ludzie i kokardki u batów ściągają powszechną uwagę.

— Wesele! — zauważa ktoś w tłumie. Podążam za garstką ciekawych do zboru.

Wnętrze kościoła ewangielickiego w Szczytnie niezwykły przedstawia widok ,nosząc na sobie piętno katolicyzmu. Na ścianach bowiem widnieją tu i owdzie olejne obrazy przedstawiające stacye męki Pańskiej. Aby przysłonić mury i wpajać patryotyzm w kongregacyę umieszczono także tablice, na których figurują czarnym krzyżem udekorowani parafianie. Ołtarz — niemal jak w kościele katolickim; składa się z tryptyku, datującego z epoki krzyżackiej. W środku niebrzydkiej, zczerniałej nieco malatury widnieje Chrystus, w jednem skrzydle św. Józef, w drugiem — Matka Boska.

Z chóru odzywają się organy, organista intonuje psalm, który podejmują biało ubrane druhny, stojące rzędem przy ołtarzu.

Rodzice nowożeńców zajęli miejsca w pierwszej ławie, a młoda para czerni się przed ołtarzem, modląc się po cichu i oczekując „pana księdza.“ Pan młody, Mazur zatrudniony w fabryce westfalskiej przybył do „ojców“ w rodzinne strony po żonę i otóż stoi sztywno, opięty w miejski, czarny surdut. Strój, hamujący ruchy, nie dla niego czy on nie dla stroju, dość, że nie czuje się w swej skórze ani on ani przyszła jego połowica. Ubrana czarno; że dzień ten nie jest dla niej żałobnym lecz weselnym zdradza jedynie biały welon spadający na plecy, upięty pęczkami rozmarynu.

Wchodzi pan ksiądz, ein Ubergermane z ładnem polskiem nazwiskiem i w języku urzędowym odzywa się do nowożeńców. Zwracając się do panny młodej podnosi, że przyjdzie jej opuścić ojcowską zagrodę i przenieść się do innej prowincyi „unseres lieben Vaterlandes“.....

Ogarnia mnie przykre zdziwienie.

— Czy ksiądz ten nie mówi po polsku? — pytam towarzysza.

— Owszem; usłyszy pan w niedzielę jego polskie kazanie.

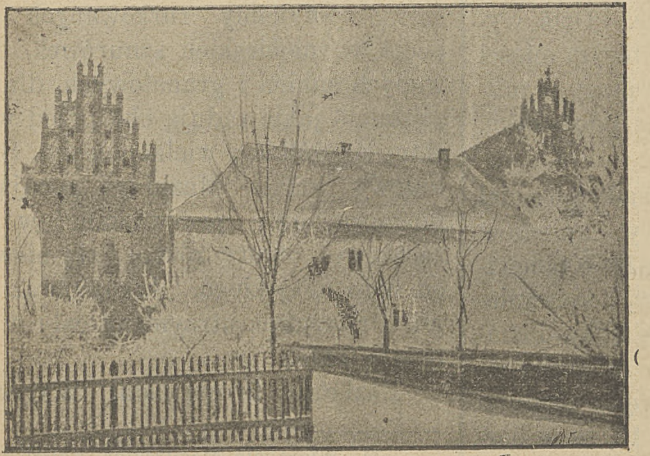
Dlaczego oni zatem nie biorą ślubu po polsku?

— Najczęściej Mazur bierze ślub po niemiecku i każe dzieci swe konfirmować w tym języku, ponieważ księża wpoili w niego to przekonanie, że jest to daleko.. ładniej. Tylko niewykrzesane pospólstwo bierze ślub po polsku, śpiewa mu ksiądz i otóż widzimy rezultat.

— A przecież Mazur jest przywiązany do swego języka.

— Przywiązany żywiołowo; nieposiada wszakże poszanowania dla swej mowy.

— I tak drzwi na rozcież otwarte dla germanizacyi przez szkołę i przez kościół.



Olsztyn (Allenstei) na Warmii. Wieża Kopernika.
(Mikołaj Kopernik robił z niej spostrzeżenia astronomiczne).

— Praktykowanej rozmyślnie i celowo, lub dla wygody księdza, który nauczywszy się po polsku dorywczo w seminaryum, na biblii Wujka, nie chętnie posługuje się tym językiem.

— Ale ksiądz ten sam musi być Mazurem.

— Mazur germanizuje Mazura. Gdyby tak nie było, germanizacya nie postępowałaby ani na krok, gdyż rodowitych, napływowych Niemców nie ma w tej okolicy prawie wcale, prócz wojska i garstki urzędników.

W istocie dość przechodząc ulicą spojrzeć na szyldy, by się o tem przekonać. Każdy kupiec, prawie bez wyjątku, każdy lekarz i adwokat nosi polskie nazwisko...

Z polszczyzną księdza zapoznałem się w niedzielę. Kazał nam o darach Ducha „szwentygo,“ akcentując na pierwszej sylabie, a polszczyzna jego kalać musiała uszy poczciwych Mazurów, jako całkiem nie — mazurska. Zresztą kazanie raziło mnie jako czysto „z katedry“ wygłoszone i nieprzystępne.

Aby odstręczać parafian od polskiego nabożeństwa, w najdogodniejszych godzinach odbywa się niemieckie kazanie, polskie zaś dopiero w południe. Dlatego kongregacya była nieliczną a — rzecz znamienna — składała się przeważnie z starych ludzi. Młodsi acz z polskim kancyonałem w ręku, idą na niemieckie nabożeństwo, chcąc uchodzić przez to za ludzi „fein“.

Lud mazurski jest szczerze nabożny; religijność jest wogóle cechą charakterystyczną polskiego chłopa. Niemcy sami przyznają, że takiego skupienia i oddania się modlitwie nie spotyka się w niemieckich kościołach. Mówię „niemieckich,“ bo musimy się z tym faktem pogodzić, że na Mazurach zbór jest polskim kościołem a niemieckim kościół katolicki.

Jeżeli Mazur nie może uczestniczyć w nabożeństwie, zgromadza familią wokoło stołu nakrytego biało i odczytuje kazanie, poczem następuje śpiew. Nadto w różnych okolicznościach Mazur wydobywa swój kancyonał. Wpadł mi w rękę: „Psałterz pielgrzyma z niemieckiego „Psałterza w podróży“ X. Karola Straube — w polskim języku X. Hermanna Koelling, pastora z Byczyna.“

Psałterz ten zawiera istotnie, jak mnie zapewniała pewna Mazurka w Szczycieńskiem, „śliczne psieśni,“ które ks. Koelling, żyjąc lat 40 wpośród ludu mazurskiego, spolszczył, z zadania swego wywiązawszy się zaszczytnie. Widocznie ukochał on język polski, jeżeli zdobył się na dzieło w języku Kochanowskiego nie pozbawione literackiej wartości. Chociaż w przedmowie

nie odzywa się do Mazurów jako do Polaków, lecz „ewangielików polskiego języka,“ miłował też widocznie lud mazurski i szanował jego tradycye. Zapewne należał do księży pastorów tego stempla co ks. Gisewiusz, do tych, co swoją misyą duszpasterską pojmowali szczytnie. Po tej generacyi dzisiaj pozostało tylko wspomnienie. Swej literaturze kościelnej i liturgii zawdzięczają Mazurzy dużo pod względem zachowania i czystości języka. Kancyonał jest ich abecadłem i jedynem niemal drukowanem słowem polskiem.

Sławiąc Stworzyciela w przyrodzie, ks. Koelling tak np. śpiewa:

„Na polu krasna lilia! Któż cię ozdobił tak, że się dziwuje me oko
Coś ty za śliczny krzak!
Ach, jakaż śliczna szata twa!
W złotej swej ozdobie
Chwała Salomona nie równa się tobie.“

Roman Rola.

Na dzień Aniołów Stróżów.

(2-go października.)

Przez życia burzę z piersią, jak stal twardą,
Przejdę odważna po drodze cierniowej,
Na srogie walki stawię głowę hardą,
Nie skażę skargą duszy silnej, zdrowej.
Mój Anioł w pracy poda mi swej dłoni,
I rąbkiem szaty białej mnie osłoni.

Choć nieprzyjaciel zguby sieć zakłada,
Jego zasadzek serce się nie boi,
Bo za nic waży wszelkiej zemsty zdrada,
Gdy nieugięta wola przy mnie stoi.
O! mój Aniele, podwój moje siły,
Aby ufności w ludzi nie straciły!

Gdy nawałnica me czoło zachmurza
I grom po gromie serce me targają,
Biegnę pod skrzydła święte mego Stróża,
A one pewne schronienie mi dają.
O! Pośredniku mych myśli i chęci,
Strzeż mojej duszy! miej mnie w swej pamięci.

Niekiedy wątła, jak bluszczu łodyga,
Gnę się i chwieję wśród wichrów zamieci
I w sercu mojem już zapał ostyga
I gwiazdka męztwa coraz słabiej świeci.
Wtedy mój druhu, podajesz mi ramię,
A siła wraca, burza mnie nie złamie.

Czy w noc, czy we dnie szepce mi do ucha
Ktoś trzeci, straszny, bym nie wiodła boju,
Lecz się nie lękam pokus złego ducha
I walczyć będę w pracy krwawym znoju.
O! Przyjacielu, mój luby i czysty,
Wiedź mnie, ach! wiedź mnie, gdzie pokój wieczysty!

Z Tobą ja pójdę i wszystko zostawię,
Com na tej ziemi prawdziwie kochała,
Chętnie pielgrzymkę nieznaną odprawię,
Byłem od Ciebie opieki doznała.
O! Pośredniku, z Tobą ja nie zginę,
Prowadź mnie, błagam, aż w górną krainę!

Stanisława R.

Poznań, 30. IX. 1903.

Nasza śpiewaczka.

Staranna i zabiegliwa dyrekcya teatru gotuje nam nie małą przyjemność w bieżącym sezonie, gdyż będziemy mieli nie tylko operetkę, lecz nawet operę, a głównym jej filarem będzie pani Zofia Dienheim Brochocka.



Zofia Dienheim-Brochocka.

O „naszej śpiewaczce“ pisaliśmy już w felietonie teatralnym w numerze 39-ym, dokąd odsyłamy Czytelników po bliższe szczegóły.

—ski.

Fotografowana muzyka.

(Do illustracyi.)

Nauka i praktyczna jej siostra, technika, obdarzyły nas w ubiegłem stuleciu tylu odkryciami i wynalazkami, graniczącemi z cudem, że dziś nic nas już prawie nie dziwi. I spokojnie patrzymy na to, co z początku tak wielki podziw w nas wzbudzało — cuda powszednieją. Owe el[illegible]zne słońce, płonące białem, pięk[illegible]wiatłem za pomocą drutów, roz[illegible]h niewytłumaczoną siłą, ow[illegible]ządy mowy, które nam przenoszą [illegible]dalekiej odległości głosy naszych przyjaciół z właściwemi im modulacjami, owe fonografy, które dziś już stały się artykułem tuzinowym, wszystko to są nowoczesne cuda dla nas zupełnie powszednie, bo patrzymy na nie codziennie. Każdemu z nas wydawają się nawet więcej zrozumiałemi, niż człowiekowi fachowemu, który pragnie dokładniej poznać ich istotę. Rozmawiałem raz z prostym blachnierzem, sporządzającym dzwonek elektryczny; człowiek ten wiedział bardzo dobrze, co jest elektryczność i jakie cuda siły elektryczne wywołać potrafią, podczas kiedy najznakomitsi fizycy tego nam powiedzieć nie umieją.

Ale zdarza się, że i w naszych czasach wzbudza jeszcze jakaś zajmująca nowość wielkie zajęcie i podziw, i niejeden, który przeczyta tytuł naszego artykułu, uśmiechnie się z niedowierzaniem. Fotografowana muzyka! A więc fotografowane tony! Brzmi to rzeczywiście niezwykle! Przypomina to owego nadzwyczajnego człowieka w fantazyjnym romansie H. C. Vellsa, który światła nie *widział, tylko je słyszał*, który dźwięków nie odczuwał uchem, tylko *okiem, i* któremu w operze kostiumy śpiewaków, barwne dekoracje i czarodziejskie oświetlenie, jako tony w uszach brzmiały, śpiewy natomaist i grzmiąca muzyka zmieniającemi i różnobarwnemi kolorami się wydawały.

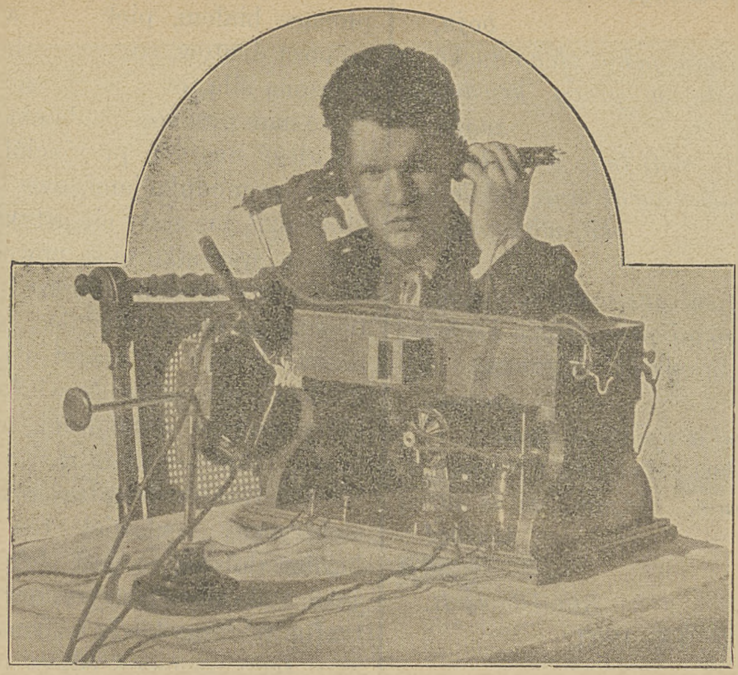
Tak jest rzeczywiście! Wydaje nam się niezmiernie dziwnem, nam, ludziom, dwudziestego stulecia, aby tony można widzieć, a światło słyszeć. Ale jeżeli można zamienić tony w światło, a światło w tony, to można też tony zamienić w światło, fotografować.

Zadanie to nie jest nowe. Obecnie zajmuje się pewien młody, berliński profesor fizyki, którego portret podajemy, Ernest Ruhmer, owemi interesującemi doświadczeniami. Ruhmer wsławił się w ostatnich czasach próbami telefonowania bez drutów — a próby te udały się znakomicie. Młody ten uczony przypomina energją i nadzwyczajnemi zdolnościami Edisona.

Wynalazł on więc niedawno aparat, za pomocą którego można dźwięki fotografować i fotografowane dźwięki uczynić słyszalnemi — aparat ten nazywa się: Photographophon. Przedstawiamy go tu w rozmaitych rycinach. Jak jednakże musi być zbudowanym ów najnowszy cud?

Spróbujemy wyjaśnić to w krótkich słowach.

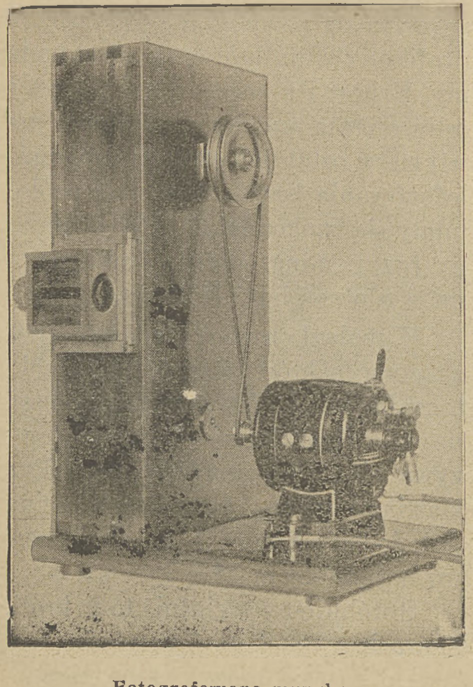
Do zdjęcia muzyki albo mowy po-



Fotografowana muzyka: Ernest Ruhmer przy swym fotografofonie

sługuje się Ruhmer tak zwaną „śpiewającą lampą łukową.“ Wiemy, że lampa elektryczna łukowa pali się niespokojnie, to jest z zmienną jasnością, jeżeli prąd elektryczny, który ją podtrzymuje, nieregularnie płynie. Skoro się taką lampę łukową połączy odpowiednim sposobem z mikrofonem (jest to ta część telefonu, w której się telefonując, mówi) i skoro śpiewamy w mikrofon lub mówimy, to powstawają zaburzenia w prądzie, podsycającym lampę, tak, że w lampie zmienia się ciągle jasność wywołana temi właśnie tonami. Zmienna jasność zaś jest, co najważniejsze, odpowiednią owym tonom. W ten sposób zamienilibyśmy tony w wahające się światło, i światło to możemy fotografować.

Aparat, którym to fotografować można, widzimy na rycinie. Jest to aparat dosyć niezwykły. Pudło szczelnie zamknięte, aby światła nie przepuszczało — w przedniej zaś ścianie umieszczona jest fotograficzna soczewka. Przed tem pudłem stawia się ową wspomnianą lampę łukową, tak, że światło jej wpada przez soczewkę do wnętrza aparatu. Wahania światła lampy są naturalnie niezmiernie szybkie, jeżeli śpiewamy w mikrofon, można je więc tylko tak fotografować, jak się robią zdjęcia kinematograficzne, to jest na pasie żelatynowym, wrażliwym na światło rozwijającym się z nadzwyczajną prędkością. (Film). Na rycinie 3 widzimy pas żelatynowy, podziurkowany na brzegach, biegnący na 2 ch okrągłych płytach, czyli rolkach w wnętrzu pudła. Elektromotor pędzi te rolki tak, że w przeciągu sekundy mogą się trzy metry żelatynowego pasa rozwinąć lub też zawinąć! Na tym pasie fotografuje się więc światło, będące pod wpływem tonów, i ztąd powstawają na odmianę jaśniejsze i ciemniejsze linje (rycina 4), odpowiadające tonom.



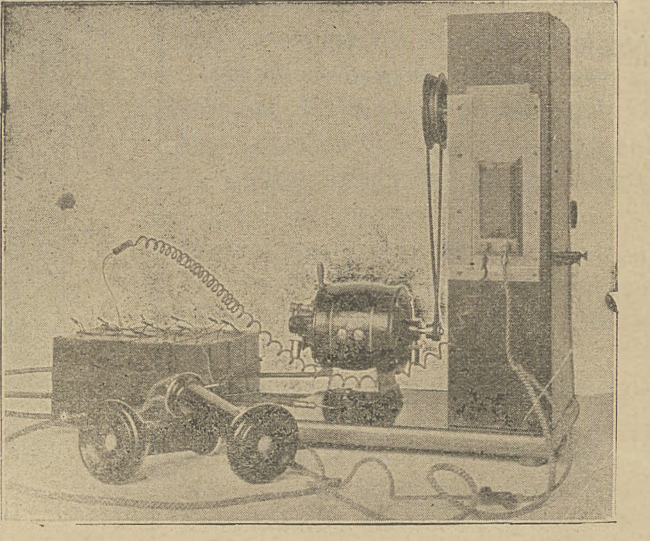
Fotografowana muzyka:
1) Ruhmera fotografofon (zamknięty).

Zdjęcie tonów jest tak skończone i teraz można ową fotografowaną mowę albo muzykę, utworzoną na pasie żelatynowym, znowu oddać! Jeżeli się już zamieniło tony w światło, to chodzi o to, aby światło zamienić w tony, i to czyni Ruhmer w sposób wprost genjalny. Używa on do tego szczególniejszej materyi, pokrewnej siarce, to jest *„selenu.“* Materya ta jest złym przewodnikiem prądu elektrycznego, ale skoro zostanie *oświetlonym,* staje się lepszym przewodnikiem, i tak mamy w selenie materyą, która wahania jasności źródła światła, zamienia znowu w wahania prądu.

Jeżeli się taką „celę selenową“ (tak się zowie pudełko drewniane, zawierające selen, rycina 5) szybko raz oświetla, raz zaciemnia, i jeżeli się z nią połączy elektryczną baterą i słuchacza telefonowanego to cela ta zamienia te wahania jasności na wahania prądu elektrycznego, który przepływa przez słuchacza telefonowego i tam dźwięki wytwarza, które my w telefonie słyszymy.

W ten sposób czyni Ruhmer fotografowane dźwięki słyszalnemi.

Pas żelatynowy, na którym się tony narysowały w kształcie linji, jest przezroczysty — lampa elektryczna oświetla go z drugiej strony i rozwija go przez kręcone rolki z ogromną szybkością. Światło, przechodzące przez pas żelatynowy pada na celę selenową, połączoną z baterą i dwoma telefonowymi słuchaczami. Widzimy to urządzenie (cela selenowa jest widzialną na tylnej ścianie pudła) na rycinie 2. Można sobie łatwo wyobrazić, że ciemne linje na pasie filmowym nie zawsze równo przepuszczają światło lampy i dla tego bywa cela selenowa ciągle rozmaicie oświetlana. Ztąd też przewodzi rozmaicie prąd elektryczny, który w słuchaczach telefonowych wytwarza rozmaite tony. Ale są one zupełnie podobne do tych tonów, które jako ciemne linje znajdują się na pasie żelatynowym.



Fotografowana muzyka:
2) Fotografofon przy odtwarzaniu fotografowanych tonów.

Daleką muszą one i powikłaną odbyć drogę, ale z czarnych linji, w które się zamieniły, i z których nic wyczytać nie mogliśmy, powstały na nowo — jako dźwięczne tony.

M. P.

Marsyljanka.

(Do illustracyi albumowej.)

Marsyljanka (Marseillaise), znany francuski hymn wojenny, przy którego odgłosie szli do boju żołnierze pierwszej rewolucyi: „Allons, enfants! de la patrie, le jour de gloire est arrivé etc." Twórcą i kompozytorem tego hymnu był Klaudjusz Józef *Rouget de Lisle.* (* 1760 w Lons le-Saulnier, † 1836), który będąc oficerem inżynieryi w Strasburgu, ułożył go 24 kwietnia 1792 dla oddziału ochotników idących na wojnę, zatytułowawszy go: „Le chant de guerre de l'armée du Rhin", później przezwano go Marseillaise. Jest to na polu poezyi najpiękniejsza produkcya z epoki rewolucyi, prawdziwe arcydzieło sztuki poetycznej, pełne fantazyi, natchnienia, siły i ognia. Marsylianka nie jedno zapewniła Francuzom zwycięztwo. Twórca jej, prześladowany za teroryzmu, żył zapomniany za cesarstwa i restauracyi; dopiero po rewolucyi lutowej znalazł uznanie, ale odrzucił ofiarowaną sobie pensyą 6,000 fr.

Illustracya albumowa przedstawia młodzieńca-żołnierza śpiewającego w kole towarzyskiem z wielkim zapałem Marsyliankę przy towarzyszeniu fortepianu. Całe towarzystwo przysłuchuje się śpiewowi z nadzwyczajnem zainteresowaniem i zdaje się być zelektryzowanem piękną melodyą tego wzniosłego hymnu wojennego.

Twórca pięknego obrazu „Marsyljanka", malarz francuski, Izydor Pils,* 1813 w Paryżu, † 1875, był znakomitym malarzem i wykonał cały szereg obrazów przeważnie religijnych, oraz wielce cenionych akwarel.

—ski.

Wspomnienia z niewoli moskiewskiej *roku 1863-go,*

przez **B. M.**

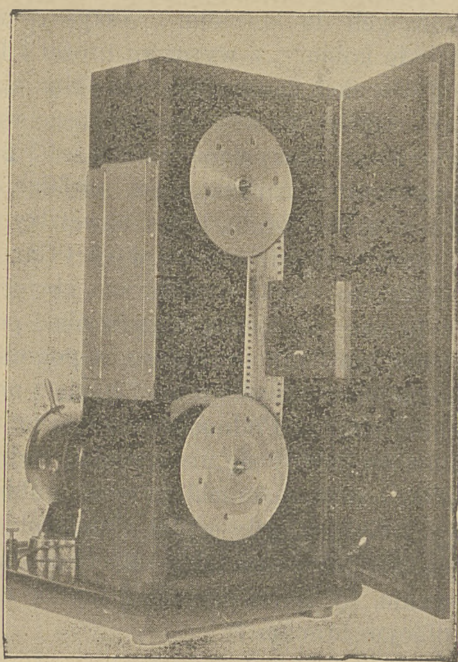
(Ciąg dalszy.)

II.

Moskal-barbarzyńca. — Trzydniowy pobyt w Stobnicy. — Pogrzeb poległych. — Wymarsz do Staszewa. — Lustracya pułkownika. — Starania o uwolnienie. — Przybysze Czengerego.

Oddział nasz tymczasem już się był rozsypał, nim się dostał do Komorowa, a dragoni i piechota moskiewska ścigając rozprószonych, jednych brali w niewolę, drugich zaś zabijali. To ostatnie częściej się zdarzać musiało, bo inaczej trudnoby sobie wytłómaczyć, jakim sposobem tak mały oddział mógł mieć tylu zabitych i rannych. Pierwszych było przeszło 400, drugich około 70. Reszta dostała się do Galicyi z jenerałem Jordanem i majorem Hościakiewiczem.

Zaprowadzono mnie najprzód do stodoły, do której potem przytrans-

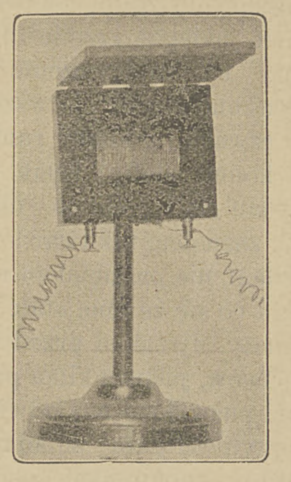


Fotografowana muzyka.
3) Ruhmera fotografofon (otwarty).

portowano rannych powstańców i Moskali, jakoteż kilkunastu jeńców. Oprócz opowiedzianego powyżej wypadku, nie widziałem tu żadnego okrucieństwa. Niektórzy sołdaci byli nawet tak grzeczni, że widząc moje okropne pragnienie, przynieśli mi do picia garneczek kwaśnego mleka, a felczer poczęstował mię nawet cygarem. Za to później miałem sposobność przypatrzeć się z bliska okropnościom, na których wspomnienie dotychczas zgroza mię przejmuje.

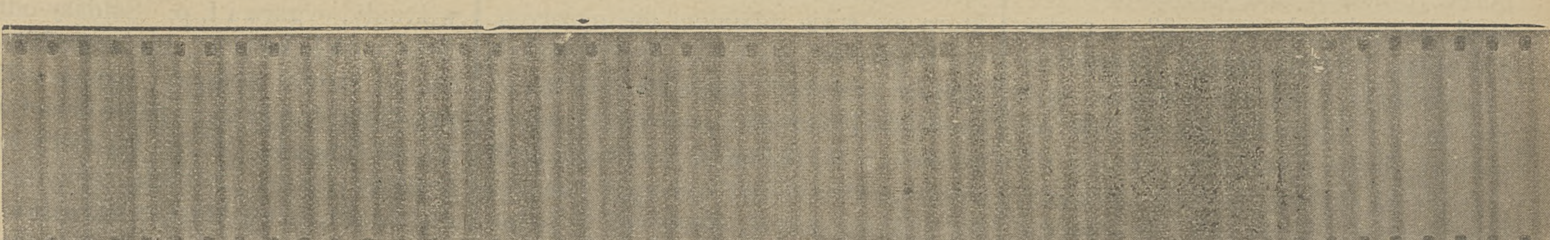
Z godzinę odpoczywaliśmy w owej stodole, nakoniec zajechało kilka fur chłopskich dla zabrania rannych, zdrowym jeńcom kazano się trzymać wozów i tak ruszyliśmy ku Połańcowi, eskortowani przez 50 Moskali, bez żadnego oficera. Nim jeszcze wyszliśmy ze wsi, spotkaliśmy dwóch kolonistów, prowadzących powstańca ciężko rannego dwukrotnem pchnięciem bagnetu w piersi. Moskale eskortujący nas kazali im odstąpić, a gdy to nastąpiło, jeden sołdat zmierzył się do rannego i strzelił. Nieszczęśliwy upadł na ziemię, ale żył jeszcze, piana z krwią zmięszana toczyła mu się z ust, przytem charczał okropnie. Ten sam sołdat, który strzelał, przyskoczył do niego, i zadał mu jeszcze dwa pchnięcia w piersi, poczem wrócił z najzimniejszą krwią do szeregu i mówiąc: „zdoch" zapalił sobie fajkę. Nie przypominam sobie, żeby co na mnie zrobiło kiedy tak okropne wrażenie, jak ten akt barbarzyństwa, niewytłumaczonego tą razą ani uniesieniem gniewu, ani pijaństwem.

Miałem też zaraz sposobność przekonać się, że nie wszyscy żołnierze moskiewscy pozbawieni są wszelkiego



Fotografowana muzyka:
5) Cela selenowa.

uczucia. Jak już wyżej wspomniałem, siły moje były tak nadwątlone, że z wielką biedą wlókłem się pieszo za wozami. Podoficer jeden widząc to, kazał mi siąść na wóz koło siebie, i bronił mię potem od napaści swoich kolegów, z których ust nie można było nic słyszeć oprócz przekleństw i narzekań na buntowszczyków. Wśród niemiłego chóru tych wszystkich obelg, przybyliśmy wieczorem do Połańca, gdzie zostawiono rannych, nam zaś zmieniono eskortę. Zasmuciło nas to trochę, bo mieliśmy nadzieję, że tamtym sołdatom może już zabraknie konceptu do przekleństw, a ci dopiero na



Fotografowana muzyka. 4) Część pasa żelatynowego z fotografowaną muzyką.

świeżo zaczynali. O 12-ej w nocy stanęliśmy z tym nowym konwojem w jakiemś miasteczku, którego nazwiska nie pamiętam, a po krótkim spoczynku ruszyliśmy dalej do Stobnicy, gdzieśmy przybyli o godzinie 3-iej rano. Łatwo pojąć, jakie musiało być moje znużenie, gdy po trudach podróżnych, doznanych przed przybyciem do obozu, i po przebytym niedawno gwałtownym tyfusie, teraz już od półtora doby znajdowałem się w nieustannym pochodzie.

Stobnica jest to miasteczko powiatowe, liczące pięć do sześciu tysięcy mieszkańców. Zastaliśmy tu ruch niezmierny, mnóstwo wozów zapełniało rynek, wszystkie ulice i szynkownie pełne były pijanych sałdatów. Dowiedzieliśmy się, że to jest wojsko powracające z bitwy. Z pół godziny staliśmy w rynku, nim przyszedł jakiś oficer, który nas odliczył i kazał odprowadzić do koszar wraz z drugim transportem jeńców, przybywającym z innej strony.

Koszary te zaimprowizowane były w domu jakiegoś rzemieślnika, które zebrano na umieszczenie sałdatów. Umieszczono nas na pierwszem piętrze. Około czwartej godziny rano udało mi się w końcu zdobyć kącik na pryczy, położyłem się i pomimo nieustannego gwaru, zasnąłem tak twardo, że gdy się obudziłem, nie pamiętałem wcale, gdzie jestem i co się ze mną stało. Otworzywszy oczy, ujrzałem przed sobą sałdatów, jeńców, jakoteż kilka pań i panów, którym pozwolono nas odwiedzić a nawet przynieść nam śniadanie. Teraz dopiero przypomniałem sobie, że jestem w niewoli. Widzenia senne, których nie pamiętam, musiały zapewne ducha mojego przenieść w odległe strony i odmienne zupełnie okazać mu obrazy, bo przeświadczenie o smutnej rzeczywistości sprawiło mi pewien rodzaj bolesnego rozczarowania. Nie mogłem jeść, chociaż dnia poprzedzającego nie miałem w ustach nic oprócz kwaśnego mleka, którem mię poczęstował litościwy sałdat. Natomiast udałem się do pań, które nas odwiedziły, z prośbą o doniesienie mojej matce w Galicyi, że jestem wzięty do niewoli, i o dostarczenie mi bielizny, gdyż Moskale zrabowali mi wszystkie rzeczy.

Jako byłemu oficerowi, chciano mi poruczyć nadzór nad wszystkimi jeńcami, których było razem 53 — z obowiązkiem, przestrzegania porządków i załatwiania mogących nastąpić sporów itp. Wymówiłem się od tego zaszczytu, dosyć dwuznacznego; ale widząc że mi okazują niejakie względy, udałem się znowu do pań i do oficerów moskiewskich, którzy nas odwiedzali, by za ich protekcyą uzyskać wygodniejsze pomieszkanie.

Trzy pokoje, w których byliśmy umieszczeni, do tego stopnia były przepełnione, że ledwie się można było obrócić. Wzdłuż ścian ustawiono nury, czyli prycze, które nam zastępywały razem miejsce łóżek, krzeseł i stołów — wązka przestrzeń, która jeszcze między niemi została, służyła do przechadzania się dwóm sałdatom, przeznaczonym na straż wewnętrzną. Oprócz tego znajdowała się jeszcze warta u drzwi i pod oknami. Tych ostatnich było pięć; mieliśmy z nich widok na ulicę, prowadzącą do rynku i na kościół, znajdujący się naprzeciw. Sprawiało mi to rozrywkę, siedzieć w oknie i patrzeć na przechodzących ulicą lub dążących do kościoła. Wszyscy, osobliwie kobiety, z wyrazem litości i łzami w oczach zasełali nam do okien ukłony. Ogólne to współczucie poczciwych ziomków, okazywane nam wśród tego panowania rozhukanego żołdactwa, i pod okiem rządu, który nawet łzy politowania dla nieszczęśliwych ofiar despotyzmu zwykł uważać za zbrodnię, było nam serdeczną ulgą w obec położenia już i tak przykrego, a pogorszonego jeszcze myślą o tem, co się z nami dalej stanie? Podnosiło ono nas na duchu, bo któżby się nie wstydził zadrżeć albo nawet zasmucić w obec szubienicy i Sybiru, gdy widzi słabe kobiety, narażające się na takie same prześladowanie, by tylko przynieść pomoc cierpiącym braciom?

Drugiego dnia naszego pobytu w Stobnicy ,byliśmy świadkami smutnego obrzędu, który się odbył pod naszemi oknami. Wołanie z ulicy zawiadomiło nas, że mają chować dwóch powstańców, zmarłych w skutek ran odniesionych na polu bitwy. W istocie nadciągnął wkrótce od szpitala wojskowego orszak pogrzebowy, złożony z mnóstwa ludzi różnego stanu i wieku. Na czele postępował ksiądz z zakonu OO. Bernardynów. Tłumy, otaczające trumny i postępujące za niemi, posuwały się powoli, pogrążone w najgłębszym smutku, żałobne śpiewy kościelne dochodziły uszu naszych pomięszane z głośnem łkaniem ludu. Widok był w najwyższym stopniu rozrzewniający. Zmarli, oddaleni od rodzin swoich, nieznani tu nikomu z nazwiska ani pochodzenia, mieli sobie oddaną cześć pośmiertną, która się staje udziałem nie możnych, nie bogatych, ale tych, co życiem lub zgonem zasłużyli sobie na miłość powszechną i chlubne u pozostałych wspomnienie. Myślałem o rodzinach tych męczenników naszej sprawy, i tym węźle pokrewieństwa, łączącym w jednę wielką familiję nasz naród, od jednego morza do drugiego, od źródeł Wisły do lodów Sybiru, i mimowolnie łzy puściły mi się z oczu. Dawno już, dawno nie płakałem tak serdecznie, jakiś żal niewymowny opanował mię całego. W tem ksiądz wszedł do kościoła, za nim wniesiono trumny i wcisnęło się nieco ludu, reszta cisnęła się także, ale zawarto przed nimi bramę i kazano się rozejść, żeby nie było demonstracyi. Wszystko ucichło, tylko z wnętrza kościoła słychać było odmawiane donośnym głosem modlitwy za umarłych. Kiedy pochowano nieboszczyków — nie wiem, zapewne w nocy .

Niedługo po smutnem tem zdarzeniu przyszedł do mnie oficer moskiewski, i wezwał mię bardzo grzecznie, bym się wraz z rzeczami mojemi przeniósł natychmiast na dół, do porządniejszego pokoiku, w którym już zastanę trzech towarzyszy niedoli. Ucieszyłem się bardzo, widząc, że prośba moja wczorajsza nie została bezskuteczną, i uskuteczniłem natychmiast moje przenosiny. Między towarzyszami, o których mi wspomniał oficer, znalazłem znajomego z oddziału oficera naszego, a niegdyś i...... kiego, pana Monseu. Uściskaliśmy się serdecznie, i lżej nam jakoś było, gdy odtąd dłuższy czas zostaliśmy razem.

Trzy dni trzymano nas w Stobnicy. Mnóstwo pań, panów, a nawet oficerów moskiewskich odwiedzało nas w naszym pokoiku. Między innymi był także major Ragoza, któremu za ocalenie mi życia raz jeszcze podziękowałem. Rozmawiał z nami długo i grzecznie, a nakoniec oznajmił nam, że nazajutrz 24-go czerwca o 8-mej godzinie rano odprowadzą nas do Staszewa. Przespawszy się i zjadłszy śniadanie, dostarczone nam przez poczciwych mieszkańców Stobnicy, wyszliśmy pod silną eskortą na rynek, gdzie już czekały podwody, zarekwirowane z okolicy. Wojsko moskiewskie, składające się z piechoty i kozaków, formowało szpaler, poza którym stały tłumy mieszkańców, którzy przyszli nas pożegnać. Wprowadzono nas w środek szpaleru, i kazano nam wsiadać na wozy, po czterech na jedną furę. Sałdaty, przydani nam do eskorty, musieli iść koło nas pieszo. Gdyśmy ruszyli z miejsca, ludność jakby na dane hasło poczęła głośno płakać, narzekać i przeklinać Moskali, cisnąc się do wozów i rzucając jeńcom różne wiktuały, cygara i t. p. Sałdaty odpychali natłok kolbami, nie szczędząc ze swojej strony różnych moskiewskich przekleństw, z których jedne dosadniejsze od drugich. Wśród tej sceny opuściliśmy miasto. Eskortą naszą dowodził oficer, Grek, którego nazwiska nie pomnę. Był to mężczyzna przystojny i bardzo wykształcony; przez całą drogę rozmawiał z nami i okazywał nam

wiele grzeczności. W polityce chciał widocznie uchodzić za człowieka liberalnego, mówię uchodzić, bo któż nie wie, co znaczy liberalizm moskiewski? W teoryi nie posuwa się on bardzo daleko, a już w praktyce to bynajmniej czuć się nie daje. Miałem n. p. sposobność poznać później w Kielcach młodego jeszcze bardzo Moskala, junkra w pułku Smoleńskim, który mi opowiadał, że wyszedł niedawno ze szkoły wojskowej w Petersburgu, gdzie za udział w liberalnych manifestacyach, jako jeden z największych wolnodumców i buntowszczyków, dostał się był do więzienia. Gdy go uwolniono, liberał nasz oświadczył, że chce dowieść czynnie, iż nie jest liberałem, i prosił, żeby go wysłano do Polski. Tu starał się słowem i czynem najgorliwiej dowodzić swej nienawiści ku Polakom, szukał odznaczenia się w bitwach i w tym celu przenosił się ciągle z jednego pułku do drugiego. Mimo to nie przestawał w poufnem kółku wywnętrzać się ze swoich postępowych zdań i przekonań. Wykpiliśmy go nieraz za ten brak harmonii między teorją i praktyką, ale nie poznał się na tem nigdy. Takich to i tym podobnych liberałów poznałem mnóstwo między oficerami moskiewskimi — prawdziwych mało, bo tylko jednego.

W pół drogi ze Stobnicy do Staszowa trafiliśmy na oddział moskiewski, który nas oczekiwał dla zluzowania naszej eskorty. Dowodził nim kapitan Pluskarzewski, Polak zmoskwicony, słynący z brutalstwa i nielubiony ani od kolegów swoich ani od osób cywilnych. Mimo tej nienajlepszej reputacyi, na jaką sobie zasłużył, mogę poświadczyć, że z nami obszedł się dość grzecznie, osobliwie ze mną i z p. Monseu, gdyż Grek, który nas dotychczas prowadził, przedstawił mu nas osobno i polecił. Ruszyliśmy w dalszy pochód, tym samym porządkiem co dotychczas, wieczorem zaś stanęliśmy na noclego w małem miasteczku Staszowie. Ponieważ nie znaleziono tam większego domostwa, w którembyśmy się wszyscy pomieścić mogli, przeznaczono nam na więzienie stodołę, w której zastaliśmy już inny transport, złożony z dwudziestu kilku jeńców. Mieszkańcy miasteczka, osobliwie kobiety przyniosły nam natychmiast wieczerzę, po której położyliśmy się spać na słomie.

Nazajutrz odwiedziło nas kilka pań, z których jedna oznajmiła mi, że ma upoważnienie do zajmowania się naszemi potrzebami. Na jej prośbę ja i Monseu spisaliśmy wszystkich jeńców; każdemu przeznaczono dom, z którego miał wikt dostawać, i dokąd miał się udawać z praniem bielizny itp. Pierwszy raz nastręczyła mi się tu sposobność napisania listu do mojej matki. Pocieszałem ją o ile było w mojej mocy i starałem się uspokoić o mnie, chociaż sam nie wiedziałem, jaka przyszłość mię czeka.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Polowanie „par force.“

Nieraz w kniei, wśród jesiennej szarugi, zmokły i zziębnięty, stojąc na stanowisku ze strzelbą w ręku, gdy równie jak i ja zmokłe i zziębnięte ogary gonić nie chciały, czy nie mogły, zadawałem sobie pytanie, co tak miłego upatrują ludziska, i ja z nimi, w tej tak zwanej rozrywce i co ich skłania do narażania się na chłód i slotę w jesieni, na trzaskający mróz w zimie, aby tylko znaleźć sposobność dania strzału do przemykającego zająca lub lisa, albo niekiedy do zwinnego kozła, lub też w wyjątkowych wypadkach do wspaniałego mieszkańca podmokłych puszcz, znikającego już stopniowo przed postępem kultury łosia, albo wreszcie do zamieszkających od niedawna puszcze nasze takich mocarzy, jak dzik lub niedźwiedź.

Czasu na rozmyślania było dosyć, to też i odpowiedź na tak sformułowane pytanie, jasno zarysowała się w umyśle: Łowy w zaczątkach społeczeństw były konieczną potrzebą, jednym z niezliczonych objawów odwiecznej walki o byt, ciągnącej się przez całe dzieje ludzkości z nieubłaganą logiką. Człowiek słaby, nagi i głodny, musiał otoczyć troskliwą opieką najbliższą swoją rodzinę, zdobyć dla siebie i dla niej pożywienie i okrycie na ciało. Pozbawiony przyrodzonej broni, pod względem fizycznej siły i szybkości biegu znacznie upośledzony w porównaniu ze zwierzętami, które musiał zwalczać do dopięcia swego celu, to jest utrzymania własnego i swoich najbliższych życia, musiał wytężyć wszystkie bardzo ograniczone władze umysłowe, aby zdobyć i udoskonalić potrzebny do tego oręż, wynagradzający mu bezbronność rąk jego, wreszcie zwycięsko zapanować nad instynktem zachowawczym i śmiało stawić czoło stokroć od siebie silniejszemu zwierzowi leśnemu. Nieustraszony zatem, zręczny a szczęśliwy łowiec stawał się opatrznością rodziny, bohaterem wśród swoich, a czyny jego pieśń ludowa przekazywała następnym pokoleniom.

Z postępem czasów, gdy na miejsce pierwotnego łowiectwa wystąpiło pasterstwo, a to znowu musiało ustąpić na drugi plan przed rodzącem się rolnictwem, jako pierwszym przebłyskiem prawdziwej cywilizacyi, łowy przestały być konieczną i nieodzowną formą zaczepnej walki o byt, lecz zachowały znaczenie walki ochronnej, broniącej trzody, i zasiewy od napaści drapieżnych i szkodliwych zwierząt i ptaków. Inne gospodarskie zajęcia pochłaniały cały czas człowieka, mniej go zatem mógł poświęcić na łowy. Usiłował przeto ulepszać swój oręż, poznawać obyczaje i sposób życia dzikich zwierząt, z któremi pragnął lub musiał występować do walki, a sława biegłego łowca zyskiwała mu ogólny poklask i budziła chęć współubiegania się w innych. Dało to początek sztuce łowieckiej, której z zapałem się oddawali monarchowie i możni świeccy i duchowni panowie, a prawo łowów zaczęło stanowić część regaliów panującego lub przywilej dostępny dla najmożniejszych lub najzasłużeńszych. Łowiectwo zaliczono do najszlachetniejszych zajęć, jako objaw siły, zręczności i nieustraszonej odwagi. Zaiste nie małej odwagi potrzeba było, aby uzbrojonemu w łuk i strzały, w oszczep i kordelas, potykać się z leśnym turem i żubrem, łosiem, niedźwiedziem i dzikiem. W połowie dopiero XVIII stulecia broń palna doszła do takiego stopnia udoskonalenia, że mogła być użytą skutecznie do celów łowieckich. Postęp kultury wytrzebił lasy, wytępił w nich grubego zwierza lub zmusił go do wędrowania dalej, w mniej zaludnione i bezpieczniejsze okolice. Łowy na drobną zwierzynę i ptactwo za mało przedstawiały uroku dla śmiałego łowca, z wyjątkiem tylko „łowów z sokoły“ na czaple, jako wielkopańskiej rozrywki, w której wykwintne towarzystwo na rączych koniach pędziło śledząc w powietrzu lot śmiałego sokoła, bijącego na czaplę, usiłującą bronić się przeciw jego szponom szybkim lotem i groźnym dziobem. Jeśli rzadki już zwierz drapieżny nie przedstawiał dostatecznego zasobu dla pełnych wzruszeń łowów, to płowa zwierzyna, a mianowicie zdobny wspaniałym wieńcem jeleń, stał się przedmiotem monarszych łowów, urządzanych z zachowaniem przepisów najściślejszej etykiety. Zgromadzeni na mocy monarszego wezwania bogato postrojeni panowie a niekiedy i śmielsze panie, dosiadali dzielnych wierzchowców, starsze lub słabsze osoby zajmowały miejsca w powozach, zgraja myśliwców pod wodzą łowczego rozsforywała psy w miejscu, gdzie się znajdowała

ostoja wprzód już otropionego jelenia, odzywały się rogi i okrzyki myśliwskie, zmieszane z graniem ogarów ścigających jelenia, a całe grono uczestników tej zabawy pędziło konno i w powozach po przecinających się w różnych kierunkach ulicach i drogach lasu, czyli raczej parku, w miarę tego, dokąd ścigany jeleń się udawał. Jeśli zziajany pogonią zwierz rzucał się do wody i przepływał na przeciwny brzeg rzeki lub stawu, oznajmiało właściwe hasło rogów i okrzyk: cer — val'eau! (cerf va a l'eau). Podobnież każdy obrót zwierza, każda zachęta skierowana do psów, każde ostrzeżenie dla myśliwych miały oddzielne wyrazy w łowieckim języku, które każdy powinien był znać i rozumieć. Wreszcie zmęczony jeleń, widząc że napróżno szuka ratunku w ucieczce, stawił czoło psiarni, broniąc się od napaści wieńcem (rogami), i zadając niebezpieczne nieraz ciosy przedniemi racicami. Była to chwila stanowcza.

Wódz polowania zsiadał z konia i, upatrzywszy stosowną chwilę, zadawał ostateczny śmiertelny cios kordelasem zgonionemu zwierzowi. Często monarcha w drodze łaski ustępował tego, nieraz niebezpieczeństwem grożącego zaszczytu, którejkolwiek z obecnych znakomitości, gdy był przekonany o jej odwadze i zręczności. Brzmiał okrzyk „hallali" i hasła rogów, oznaczające koniec polowania. Wszyscy uczestnicy starali się dobiedz do miejsca, aby być świadkami tej końcowej sceny łowieckiego dramatu. Niejeden niefortunny jeździec nagle i niespodziewanie rozstał się z niesfornym rumakiem podrażnionym graniem ogarów, dźwiękiem rogów i krzykami dojeżdżaczy; niejeden przedzierając się przez krzaki postradał galonowany kapelusz i pudrowaną perukę; niejedna dama ze strachu zemdlała, ale łowy odbyły się prawidłowo i tradycyi etykiety stało się zadość. Takiemi były gonne łowy (chasse a courre) w wielkim stylu na dworze królów francuskich, aż do czasu wielkiej rewolucyi, która sprowadziła ich zagładę.

W Anglii, miejscowe obyczaje inny gonnym łowom nadały kierunek.

Zwierzem ściganem przez umiejętnie wytworzoną rasę ogarów, nie tak powolnych w gonitwie jak dawna rasa ogarów S-go Huberta, lub rasy francuskie, ani znowu tak szybkich jak charty, gdyż tu nie chodzi, o schwytanie w krótkim czasie gonionego zwierza, którym tu jest lis, ale o zmęczenie go, czyli sforsowanie wytrwałym pościgiem, aż go psy pochwycą i uduszą. Ogon lisa uczepiony u siodła, stanowi trofea jeźdźca, który pierwszy dotarł do miejsca w chwili gdy psy wreszcie schwytały lisa. Nawet jeśli chytry zwierz potrafi przy końcu polowania znaleźć norę, w której może bezpiecznie ukryć się przed pościgiem, tem lepiej, gdyż można będzie gonić go powtórnie; psy są zmęczone, konie również, jeźdźcy niemniej. Jakiż jest właściwie cel tej rozrywk? Oto użycie gwałtownego ruchu na świeżem powietrzu, wykazanie wytrzymałości i dzielności koni i śmiałość jeźdźców przy braniu przeszkód, któremi całe pole popisu jest najeżone. A przeszkody to nie lada.

Są to żywopłoty, mocne baryery, rowy, wały odarniowane, mury z cegły lub z kamieni. Jeździcy podążając za psami, ścigającemi lisa, przebywają te rozliczne przeszkody, z których nie jedne grożą prawdziwem niebezpieczeństwem, tak dla konia, jak dla człowieka. Ale bo to też koń nielada i równego mu nie znajdzie na całym świecie.

Koń myśliwski czyli „hunter" angielski, jest to koń pół krwi, nie tak szybki jak koń krwi pełnej, składający egzamin z szybkości na wyścigach, ale rosły, potężnej budowy, o stalowych mięśniach i ścięgnach, mogący bez wysiłku pędzić galopem po nierównym, czasem twardym i kamienistym, to znowu ciężkim, rozmokłym i lepkim gruncie, i w biegu tym śmiało przesadzać wszelkie przeszkody, o których wspomnieliśmy wyżej. Na pierwszy rzut oka, podług naszych urobionych przez tradycyę pojęć, koń taki pod względem harmonii i estetyki kształtów przedstawia dużo do życzenia, lecz nieuprzedzony sędzia nie zawaha się uznać wysokie jego zalety.

Jaki z nich da się wyciągnąć praktyczny użytek, to już kwestya, której przesądzać nie będziemy. Anglicy pracując wytrwale przez dwa przeszło wieki ukształcili gonne łowy w miarę swych pojęć i potrzeb, nie oglądając się na koszta, jakie za sobą ta rozrywka pociąga; ale też „Geldhaba stać na to."

Łowcy francuscy dawnej daty, z lekceważeniem odzywali się o angielskich gonnych łowach, których przedmiotem był marny lis, pogardliwie zwany „cuchnącym zwierzem" (bete puante) w łowieckim języku, w przeciwstawieniu do „szlachetnej" zwierzyny, jaką był jeleń. Ale głosy te zamilkły już w mogile i dzisiaj wszelki sport, na sposób angielski praktykowany zdobywa sobie z każdym dniem coraz liczniejszych zwolenników na stałym lądzie Europy. We Francyi łowy takie z powodu rozdrobnienia własności ziemskiej, są niemożliwe; podobnież się dzieje w południowych i środkowych Niemczech; ale za to w północnych, od Prus wschodnich aż do Hanoweru coraz bardziej wchodzą w użycie, a przeważny w nich udział biorą wojskowi, gdyż pościg taki za zwierzem, którym bywa albo hodowany w parku daniel, albo żywcem złowiony dzik, albo lis, lub wreszcie marny zając, uważany jest ze stanowiska militarnego, które w naszych czasach przoduje wszelkim innym, za doskonałą praktyczną szkołę do wyrobienia konia i jeźdźca w polu i obznajmienia ich ze wszelkiemi możliwemi warunkami gruntu i atmosfery, czego ujeżdzalnia, plac mustry i obowiązkowa przejażdżka po drogach dać nie są w stanie. Angielska moda narzuciła i tym sportowym ćwiczeniom czerwone fraki i inne obowiązkowe szczegóły ubrania jeźdźca i osiodłania konia.

Łowieckie hasła, dźwięki rogów, szalony galop, często po rozmiękłej ziemi w skutek listopadowej słoty, dodają życia tej „rozrywce," a przyprawę jej jako ostry sos, stanowią dosyć częste nieszczęśliwe wypadki z jeźdźcami i końmi przy braniu przeszkód lub przebywaniu miejsc bagnistych.

U nas, również z powodu rozdrobnienia własności ziemskiej i wysokiego opodatkowania ogarów, których do takich łowów potrzeba co najmniej kilkunastu sfór, sport ten nie ma racyi bytu. Majętni posiadacze wielkich przestrzeni ziemi zaczęli go od lat kilku uprawiać z zamiłowaniem, chociaż gonionym zwierzem jest tam tylko zając. Zamiast angielskich ogarów — lisiarzy (*„fox houds"*) używane są tam do tego celu również angielskie „bigle" (beagles) i „harriers." Zresztą cały pościg odbywa się podług prawideł angielskich. Obszerne równiny, nieprzecięte żadnemi poważniejszemi przeszkodami, dobrze się nadają do pościgu, lecz odbierają mu ową silnie działającą podnietę, jaką są przeszkody do przebycia, chyba, że na drodze pościgu trafi się jar głęboki, którego ani okrążyć, ani wprost przebyć nie można. Radzą zatem sobie jeźdźcy jak mogą, pilnując się, aby nie skręcić karku, albo koniom i sobie nie połamać nóg, bo doprawdy nie warto.

R.

Babie lato.

Jak rój liliowych motylków,
Wiatr rozwiał naokół świata
Perłowe, srebrne i białe
Niteczki babiego lata.

Zrywa je, rzuca w powietrze,
Przędzę wydyma jak żagle,
Skręcił je w esy — floresy
I umknął z niemi wraz nagle.

Jedne rozsnuwa po ziemi,
Inne daleko poniesie
I między złote drzew liście
Rozpina kędyś po lesie.

Tak zawieszona niteczka
Niby przez pryzmat — od słońca
Chwyta promienie i świeci
Barwami tęczy jarząca.

Lub w kryształowem powietrzu
Przędziwo Maryi Bozkiej —
Rozpięte wiatru podmuchem —
W cudowne wiąże się zgłoski.

Mówią, że, jeśli z śmiertelnych
Kto cudne zgłoski odczyta,
Ten wielką tajnię zdobędzie,
Co w piśmie onem ukryta;

Ten pozna bytu początek,
Wielką zagadkę istnienia
I twórcze siły natury
I wielką myśl przyrodzenia...

Wiatr wionął... niteczki białe
W lot się zerwały jak ptaki —
Za niemi lecą znów inne
I lecą w kraj — Bóg wie — jaki...

K. P.

Szczęście w nieszczęściu.

Opowiadanie przez *Ł. Cz.*

„Gdy się twa dusza
przed Bogiem ukorzy,
Wnet spłynie na nią
promień łaski Bożej.“

Dziwisz się szanowna pani zmianie, jaką we mnie dostrzegasz; mówisz, że nie poznajesz mnie zupełnie, pragniesz wiedzieć i pytasz, jakim sposobem z takiego jak ja, niedowiarka mogłem się stać człowiekiem wierzącym i religijnym.

Znajomość nasza datuje się jeszcze z czasów pierwszej mojej młodości, gdy po ukończeniu medycyny wyjechałem jako młody lekarz na praktykę za granicę — przeszłość moja jednak była pani zupełnie nie znaną. Jeśli pozwolisz i zechcesz posłuchać, postaram się takową opowiedzieć, chociaż w skróceniu, jak również i to wszystko, co później po rozstaniu już naszem się stało, a łatwo przekonasz się sama, jak dziwnemi nieraz są drogi, któremi nas często Opatrzność Boża prowadzi. Zgadzasz się pani, mówiąc, że chętnie posłuchasz, a więc przystępuję do rzeczy.

W dzieciństwie z rodzicami swoimi mieszkałem w mieście gubernialnem, gdzie śp. pamięci ojciec mój był profesorem miejscowego gimnazyum. Piersiową dotknięty chorobą, wcześnie bardzo osierocił matkę moją z trojgiem drobnych dzieci, miałem bowiem dwie jeszcze siostry, a ja z rodzeństwa byłem najstarszy. Mała emerytura zaledwie wystarczała na skromne nasze utrzymanie.

Matka moja, choć bardzo pobożna, marzyła jednak dla mnie o świetnej przyszłości, pragnęła, bym się mógł kształcić jak najwyżej, wpajając wcześnie w młode serce ambicyę, by się koniecznie wybić z pośród tłumu, stając się głośnym i sławnym, ale skromne środki na to nie pozwalały. Szybko minęło lat parę, nadchodziła już właśnie pora kształcenia mnie. Matka zmartwiona i skłopotana, a zbyt dumna, nie chciała nawet zwierzyć się przed nikim z tem, że fundusze jej nie wystarczały na opłacenie jakiejkolwiek nauki dla mnie; ale koledzy zmarłego mego ojca, odgadując wszystko, przez pamięć na niego i stosunki, wkrótce skuteczną podali radę. Przy miejscowem seminaryum był fundusz duchowny, rodzaj stypendyum, przeznaczony dla uczącej się niezam. dziatwy od klasy 1-ej aż do ukończenia gimnazyum, poczem należało albo powrócić koszta, albo wstąpić jako alumn do seminaryum. Matka moja z wdzięcznością przyjęła uczynioną jej propozycyę, a gruntownie pobożna, z duszy pragnęła, abym w przyszłości poświęcił się stanowi duchownemu. Mnie, mającemu od dziecka wpojone przez matkę zasady religii, myśl ta uśmiechała się bardzo. Zdolności miałem wielkie, pracowałem przytem dużo, nic więc dziwnego, że ciągle pierwszym byłem uczniem i ukończyłem gimnazyum odznaczony medalem, poczem wstąpiłem do seminaryum.

Trzy lata szybko minęły i tutaj, jak w szkołach, byłem ciągle pierwszym, chciwy nauki i wiedzy, pragnąłem kształcić się dalej, marząc ciągle o dostaniu się do akademii duchownej. Przyrzekano mi to po cichu, obiecywano pół-słówkami, lecz gdy przyszło do rzeczy, przedstawiono i wysłano kogo innego.

Władza moja duchowna ze względów czysto-moralnych, widząc we mnie próżność, wygórowaną ambicyę i chciwość wiedzy, pragnęła zapobiedz wcześnie i niedopuścić, aby rosła we mnie coraz to bardziej ta rozwijająca się pycha rozumu. Ale wtedy rzeczy te zupełnie widziałem inaczej. Czułem, że wyrządzono mi krzywdę, że wielka stała się niesprawiedliwość. Upokorzony, dotknięty do żywego, zawiedziony w nadziejach miotałem się bezsilny, zniechęciłem się do najwyższego stopnia, byłbym natychmiast rzucił seminaryum, pragnąłem to zrobić ,ale trzeba było pierwej powrócić koszta, wyłożone na moje kształcenie, a uczynić tego nie byłem w możności.

W tym właśnie czasie, w tym okresie apatyi mojej i zniechęcenia, matka moja niespodzianie po zmarłym swoim bracie otrzymała niewielki spadek, z którego jednak część, przypadająca na mnie, nietylko, że wystarczyła na pokrycie zaciągniętego długu, ale jeszcze pozwalała własnym kosztem kształcić się dalej. Opuściłem więc seminaryum, pełen skrytej niechęci w sercu dla swoich zwierzchników i odtąd stałem się jawnym wrogiem duchowieństwa i Kościoła.

Wyjechawszy do Warszawy, wstąpiłem na medycynę, którą ukończywszy z odznaczeniem, już jako lekarz, wyjechałem, dla lepszej praktyki po szpitalach za granicę. Wtedy to poznałaś mnie, pani, wiesz dobrze, jak pracowałem, jak chciwie w każdej gałęzi zdobywałem wiedzę.

Ale wkrótce śmiertelna choroba matki mojej znagliła mnie do powrotu. Przybywszy do kraju, nie zastałem już jej przy życiu, zdążyłem zaledwie na pogrzeb. Poczem dowiedziałem się, że długą chorobą matki fundusze zostały dobrze nadszarpnięte, a to, co pozostało, stanowi tak niewiele, że siostry moje, straciwszy ze śmiercią matki emeryturę, pozostają prawie bez środków do życia.

Trzeba więc było natychmiast zabrać się do czynu i pożegnać na zawsze z wszystkiemi marzeniami sławy i rozgłośnej karyery, jaka mi się otwierała na polu naukowem, a przyjąć dla chleba skromną posadę lekarza szpitalnego w pewnem powiatowem mieście, którą mi natychmiast ofiarowano, obiecując liczną przytem praktykę w mieście i okolicy.

Kilka szczęśliwych wypadków uratowania pacyentów moich od niechybnej śmierci, parę ciężkich chorób szczęśliwie jakoś wyleczonych, kilka ryzykownych, a z powodzeniem odbytych operacyi wprędce rozsławiły imię moje, tak, że wszędzie, nawet między kolegami uważano mnie za wyrocznię. Ale choć sławiono mnie w koło, a powodze-

nie i byt mój materyalny był już zapewniony, zarzucano mi jednak po cichu, że jestem człowiekiem bez żadnej wiary, bo nikt nigdy nie widział mnie w kościele, w rozmowie z przekąsem odzywałem się o duchowieństwie, sceptycznie o religii samej wygłaszając zdania, a pomny tylko na to, co mnie spotkało, mając skryty żal w duszy, zrażony do jednostek, zniechęcony, zaprzestałem odbywania wszelkich praktyk religijnych.

Daremnie siostry nieśmiało robiły mi uwagi, naprożno nawet chwilami własne odzywało się sumienie, stale trwałem przy swojem. Powodzenie moje za to, jako lekarza, z dniem każdym wzrastało.

W tym czasie ukochałem gorąco młodą, wykształconą, wychowaną starannie, lecz ubogą panienkę, córkę zacnych rodziców, a powszechnym cieszących się szacunkiem obywateli ziemskich z okolicy — i wkrótce jako swoją żonę wprowadziłem ją do domu.

Lat kilka minęło jak dzień jeden. Kochający i kochany, byłem nad wyraz szczęśliwym, tembardziej, że nic tego błogiego raju nie mąciło, bo i obydwie siostry moje serdecznie kochały się z moją drogą Jadwinią, a na pociechę mieliśmy prześliczną, trzy lata już liczącą dziecinę. Rozkoszne maleństwo rosło i chowało się zdrowo. Droga Ola moja była mi pociechą i rozkoszą. Z najwyższą radością spieszyłem zawsze do domu, bym mógł prędzej upieścić dziecię ukochane.

Dnia jednego, powróciwszy wcześniej do domu, zastałem żonę moją cokolwiek słabą, a zbadawszy ją, radziłem wypocząć lepiej i położyć się do łóżka, zapewniając, że nie dalej, jak jutro, będzie zdrową, jak rybka, sam zaś zasiadłem w fotelu na ganku, przerzucając z poczty listy i gazety. Obok mnie na swym dziecinnym stołeczku bawiła się jak zwykle, mała moja Ola, szczebiocąc i zagadując do mnie co chwila.

Wtem, posłana po jakiś sprawunek, powracała właśnie z miasta, dawniejsza jej mamka, a obecnie „Niania''. Ola, kochając ją bardzo, ujrzawszy ją, ucieszyła się i poznała natychmiast, całym więc głosem, wskazując paluszkiem, wołać zaczęła: „Niania'', „Niania'', ta zaś zbliżała się coraz bardziej, aż w końcu, chcąc wejść do domu, znikła pod tym samym balkonem, na którym siedziała.

W tej chwili, jak oka mgnienie, stała się rzecz straszna. Dziecię, śledząc za nianką, wychyliło się szybko i spadło, straciwszy równowagę. Piętro było wysokie, a przed domem bruk i kamienie. Stało to się tak szybko, żem spostrzegł wszystko wtedy dopiero, jak już Oli mojej nie było. Struchlałem i dopiero na krzyk na dole, spieszących na ratunek ludzi, oprzytomniałem cokolwiek. Nie wiem nawet jak i kiedy znalazłem się na schodach, gdzie spotkałem niosących na górę omdlałą, czy nieżywą już, krwią zbroczoną, drogą moją Olę... Szalałem z bólu, nieprzytomny, bezsilny z całą swoją sztuką lekarską, nie wiedziałem, co począć, od zmysłów odchodząc, nie wiedząc prawie, co się ze mną dzieje, nie byłem w możności żadnej udzielić pomocy. Posłano natychmiast po miejscowych lekarzy — koledzy szybko ze współczuciem pospieszyli na ratunek, robiono wszystko, co tylko było można, ale z każdą chwilą coraz widoczniejszem stawało się niepodobieństwo zatrzymania ulatującego życia, bo oprócz zewnętrznych uszkodzeń na ciele, nawet prąd zimnej wody, nie mógł nietylko przywrócić przytomności, ale nawet obudzić najlżejszego uderzenia serca.

Widząc, co się dzieje i jako lekarz, pojmując, co w końcu nastąpić musi, wypadłem z domu i jak szalony, błąkałem się bez celu, nie mając odwagi powrócić, by strasznej nie dowiedzieć się prawdy. Jak długo to trwało, nie wiem, jak nie wiem również, jakim sposobem nazajutrz o świcie, kiedy dziecko cudownie prawie otworzyło oczęta, siostra moja, zawsze pobożna, pobiegłszy do kościoła, gdzie choć drzwi były jeszcze zamknięte, pragnęła jednak tam, na poświęconem chociaż miejscu, gorąco podziękować Bogu za cudowne prawie przywołanie drogiej Oli naszej do życia — jakim sposobem, mówię, znalazła mnie tam leżącego na piasku krzyżem przed kościołem.

Zdziwiona, goręcej stokroć jeszcze dziękowała Bogu, bo w domu nie wiedzieli nic zgoła, co się ze mną stało, noc całą szukali mnie naprożno, rozpytywano tych, którzy mnie widzieli błądzącego bez celu po ulicach i drogach, nie przypuszczano bowiem nigdy, abym tu się znajdował, sądzono, lękano się raczej, znając dobrze ten brak we mnie religii i wiary, bym w przystępie rozpaczy nie odebrał sobie życia.

Siostra moja, po skończonej modlitwie, zbliżyła się cichutko, a dotykając zlekka i wzywając po imieniu, powiedziała mnie o wszystkiem. Ocknąłem się, jak ze snu, sam nie wiedząc, nie umiejąc zdać sobie sprawy, jakim sposobem się tu znalazłem, a dowiedziawszy się, co się dzieje, powróciłem do domu, robiąc pierwej postanowienie, za ocalenie ukochanego dziecka, odbycia pieszo pielgrzymki i skruszonej spowiedzi na Jasnej Górze — powróciłem, mówię, do domu, a choć Ola moja droga, zmieniona do niepoznania, leżała w gorączce i nie rozeznawała nikogo, dostała bowiem zapalenia mózgu, to jednak, przy troskliwej opiece i staraniu lekarzy, zwalczywszy chorobę, szybko powróciła do zdrowia, a wypadek ten żadnego nie wywarł wpływu na dalszy jej rozwój.

W tym samym jeszcze roku, wczesną jesienią, odbyliśmy z całym domem ślubowaną pielgrzymkę na Jasną Górę, a po dopełnionej tamże spowiedzi, stałem się, jak sądzę, dobrym katolikiem, gorliwym obrońcą duchowieństwa i Kościoła, i pragnąc w tych uczuciach wytrwać do śmierci, gorąco dzisiaj w codziennych modłach dziękuję Bogu, że dopuszczając na mnie chwilowe nieszczęście, grożące strasznym dla mnie ciosem, wszechmocą potęgi Swojej w jednej prawie chwili uratował mi duszę, a drogiemu dziecięciu mojemu życie.

L. Cz.

Wierzę!

Boże! w Opatrzność Twoją wierzę stale
I w miłosierdzia Twojego bezbrzeże;
Ze sprawiedliwe dzierżysz w ręku szale,
Wierzę!

Panie mój! wierzę, żeś jest Wszechmądrością,
Choć od Twych gromów zdruzgotany leżę;
Żeś bezgraniczną, najwyższą Miłością,
Wierzę!

Ze zawsze według sił naszych zasobu
Wszelkie cierpienia wydzielasz nam w mierze,
Byśmy swe krzyże nieść mogli do grobu,
Wierzę!

Ze kiedyś za tę krew, co z ran ocieka,
Jeśli Twej woli poddamy się szczerze,
Szczodrze każdego nagrodzisz człowieka,
Wierzę!

Choć w życiu pociech pozbawiasz nas wielu,
A srogie śmierci dopuszczasz grabieże,
Ze dobro nasze masz tylko na celu,
Wierzę!

Przeto, o Panie, całe serce moje
I całą duszę składam Ci w ofierze,
A że Twej łaski oczyszczą je zdroje,
Wierzę!

Jan. Gór.

ZBAWCY.

Uwięziony w wywróconym wagonie, ubezwładniony w ciemnościach i zdumiony, że żyję po strasznej katastrofie, słyszałem wydobywające się ze wszystkich stron wołania, jęki, błagania — to głuche ,to przeraźliwe. Później inne głosy zmieszały się z głosami rannych. Nadszedł jakiś człowiek i przystanąwszy niedaleko mnie mówił: „Jest tego! Jest!“ Zbliżył się drugi. Zawołałem. Odeszli. Rozróżniłem potem wyraźnie wydawane w dali rozkazy.

— Jestem uratowany! Idą do nas! Zacząłem znów wołać. Żadnej odpowiedzi. Chwilami wytężałem wszystkie moje mięśnie, ażeby się wydostać z uwięzi, ale daremnie! Żadnym z moich członków nie mogłem poruszyć. Wszelkie usiłowania ból mi tylko sprawiały; pomimo to jednak ponawiałem je z wytrwałością maszyny.

Za każdym razem, kiedy rozlegały się głosy na torze, wołałem. Mijano mię zawsze bez odpowiedzi. Wołanie moje gubiło się wśród innych krzyków, a wszystko zresztą zatopione było w jakiemś chrapaniu głuchem, monotonnem, dalekiem, które się unosiło, falowało, a które pochodziło nie wiem skąd: było to jakby chrapanie potwornego zwierza, które panowało nad naszą agonią.

Czekałem. Musiały upłynąć całe godziny.

Tak, całe godziny, bo ładne młode dziewczę przestało broczyć krwią, która już tylko zimna ściekała po mojej piersi. Kiedy czyniłem wysiłki, aby odetchnąć albo poruszyć się, czułem jej ciężar na sobie.

Powietrze także wydawało mi się ciężkiem. Dusiłem się. Woń sadzy i dymu przyłączyła się jeszcze do tego wszystkiego, i przyprawiała mię o kaszel. Moja pozycya, przeciągająca się zbyt długo, stawała się nie do zniesienia. Ani nie siedziałem, ani nie stałem, lecz poprostu wisiałem. Straciłem zresztą zupełnie czucie w nogach, zdrętwiałych z powodu braku ruchu. Wskutek natężającego wsłuchiwania się, ogłuchłem prawie w końcu. Ażeby nie stracić nadziei, trzeba mieć pewien zasób energii. Moja energia się wyczerpała. Na odgłos zbliżających się do mnie kroków, wołałem jeszcze, ale słabo już, jakby dla zaspokojenia sumienia, jakby z obowiązku.

I całe moje ciało omdlewało. Odczuwając potrzebę snu, zwiesiłem na bok głowę. Znalazłem dla niej oparcie, prawie wygodne, na czaszcze młodej dziewczyny. Zdaje się, że zasnąłem.

Zbudził mię paroksyzm kaszlu, którym wstrząsany, uderzałem skrońmi i żebrami o kanty drewniane i żelazne wagonu. Ostry swąd siarki i spalonej wełny szczypał mię w nozdrzu, dusił w gardle. Zdawało mi się, że powietrze było gorętsze i że głuche jęki stawały się wyraźniejszymi, bliższymi... Usłyszałem, także jakieś trzeszczenie....

— Rozbijają wagony, żeby nas uratować.

Głosy, istotnie coraz głośniejsze mówiły, rozkazywały. One także były pełne przerażenia. Temperatura podnosiła się niezaprzeczenie. Kaszel wstrząsał mną coraz częściej. Czułem jakby kłucie igieł w rogówkach moich oczu i krajach powiek. Łzy spływały mi po policzkach. Dlaczego? Zdawało mi się, że oddycham dymem. I wówczas okropna myśl przyszła mi do głowy: „Palimy się! Pociąg się pali! Wagony zajęły się od lokomotywy! To chrapanie, tam, to płomienie! Idą!“

Brakło mi tchu. W głębi ciemni przedemną widziałem czerwone gwiazdy, które trzeszczały.

Ach! spalić się w tem!

Czyniłem rozpaczliwe wysiłki, rzucałem się na jednem miejscu, napróżno! Wrzeszczałem: „Do ognia! Do mnie! Na pomoc!“. Chrapanie się zbliżało, trzeszczenie wzrastało. Przedemną, za mną, rozlegały się przejmujące jęki konania. Jak długo mogło to trwać? Nie wiem. Otwierałem szeroko usta, szukając czystego powietrza na prawo, na lewo, wdychając dym. Zemdlałem.

Z tego, co potem nastąpiło, zdawałem sobie już lepiej sprawę: woda spływała na mnie w kaskadach; orzeźwiła mnie. Spływała na moją głowę, letnia z początku, potem świeża. Oddychałem lepiej. Tuż koło mnie, usłyszałem gwałtowne uderzenia siekier i młotów i wymianę słów między ludźmi:

— Pomogły pompy!

— Ostatni był czas!

— Nieszczęście!

Zrozumiałem, że ugaszono ogień.

Wyszeptałem:

— Do mnie!

Nie słyszano mnie wcale z pewnością.

— A jeżeli o mnie zapomną?

Powtórzyłem trochę silniej:

— Do mnie!

— Masz! skomli tam ktoś...

— Tutaj! Na pomoc!

— Dobrze moja stara! Na każdego przyjdzie kolej.

Drżałem z zimna. Silne uderzenia siekiery przebijały ścianę. Słyszałem rozłupujące się deski. Zbliżali się więc do mnie ludzie z ratunkiem.

— Oh! jakże to długo!... Czy jeszcze żyć będę, gdy przyjdą?

Czy to z pragnienia końca moich tortur, czy z nieprzezwyciężonego zmęczenia? Chciałem tylko zasnąć. Strach, żeby o mnie nie zapomniano, budził mię i znów opanowywała mię senność.

Na bardzo krótko, zapewne na kilka minut, na kilka sekund może, ale zasnąłem, jestem tego pewny, i ze strachu podskoczyłem, ze strachu, a nie z radości, gdy siekiery zadzwoniły nad moją głową.

— Tutaj!

(Dokończenie nastąpi)

Tak obszerny początek tej nader pięknej powieści przewyższa wartość ćwierćrocznej przedpłaty na „Pracę“, każdy więc nowy abonent powinien korzystać skwapliwie z niezwykłej oferty.

Nadzwyczajne

piękne premium,

Każdy z Czytelników, który nam zjedna trzech nowych abonentów i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako premium za nadesłaniem 50 fenygów w znaczkach pocztowych na porto

kompletne dzieła Mickiewicza w 4 tomach w pięknej oprawie z wyzłoconym grzbietem (najnowsze wydanie).

Kto z Czytelników chce te książki od nas kupić, ten niech nadeśle nam 2 marki na książki oraz 50 fenygów na portoryum, razem 2 marki 50 fen., a otrzyma odwrotnie ***kompletne dzieła Mickiewicza w 4 tomach*** za bezcen.

Każdy z Czytelników, który nam zjedna **jednego nowego abonenta** i udowodni to kwitami pocztowemi, otrzyma jako

premium

piękny obraz historyczny w kolorach, *oraz zajmującą książkę powieściową* za nadesłaniem 10-cio fenygowego znaczka pocztowego na porto.

Do jednego z następnych numerów dołączymy jako **premium piękny obraz historyczny w kolorach**, przedstawiający

Bitwę pod Cecorą.

Komu zależy na punktualnem regularnem otrzymywaniu „Pracy“, niech zamówi „Pracę“ na poczcie. Jest to najwygodniej i najlepiej.

Abonenci, otrzymujący „Pracę“ i „Czytelnią“ pod opaską, którzy dotychczas nie nadesłali przedpłaty na nowy kwartał i tego nie uczynią bezzwłocznie, już następnych numerów nie otrzymają.

Szanownych Czytelników

w Galicyi

i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spieszne nadesłanie abonamentu na nowy kwartał w ilości

2 kor. 30 hal.

wprost do administracyi „Pracy“, albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

tylko 1 kor. 47 hal.

Formularze na przekazy pocztowe dla prenumeratorów, odbierających „Pracę“ w Galicyi i wogole w Austro-Węgrzech dołączamy do dzisiejszego numeru.

Już największy czas zapisać

„Czytelnię Polską”

na nowy kwartał.

„CZYTELNIA POLSKA“ zapisana jest na poczcie w spisie gazet na rok 1903 pod rubryką: „Abtheilung II t. poln. 13.“

Abonament „CZYTELNI POLSKIEJ“ wynosi kwartalnie

60 fen.

W Austryi i wogóle w Austro-Węgrzech

pod opaską: kwartalnie 1,10 mk. czyli 1 koronę 23 hal.

Numery okazowe „Pracy“ i „Czytelni“ wysyłamy na żądanie bezpłatnie.

Kwity pocztowe na „Pracę“ i „Czytelnię“ na nowy kwartał zamieszczone są na osobnej karcie pod okładką

W 39-tym zeszycie

„Czytelni Polskiej”

rozpoczęliśmy druk bardzo pięknej oryginalnej powieści, napisanej przez Alberta Górowskiego p. t.

„Męczennica.“

Nieszczęśliwa miłość młodej, pięknej dziewczynki, Maryi, narzeczonej hrabiego Artura — uwodziciela, który zniszczył jej szczęście i życie zupełnie — oto treść powieści p. t.

„Męczennica,“

którą każdy, mianowicie młodzież nasza, czytać będzie z nadzwyczajnem zainteresowaniem i wielkiem zaciekawieniem.

Początek powieści otrzyma każdy nowo przybyły abonent gratis, jeżeli nam nadeśle na dowód kwit pocztowy abonamentowy.

Ze względu na rozpoczęcie druku powyższej, rzeczywiście bardzo pięknej powieści, zachęcamy Czytelników Przyjaciół naszych do najliczniejszego zapisywania sobie na poczcie i w naszej ekspedycyi w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej 38 „Czytelni Polskiej.“

Wiadomości.

— ***Mapę*** wielką kolorową Polski dołączymy z przyczyn od nas niezależnych, głównie z powodu trudności technicznych, do jednego z następnych numerów „Pracy.“

— ***Proces*** o rzekomą obrazę kupca Nepomucena Kierskiego z Poznania, wytoczony naszemu odpowiedzialnemu redaktorowi, p. Józefowi Lisowskiemu, toczyć się będzie przed tutejszym sądem ławniczym w dniu 14-go października r. b., rozpocznie się o godzinie $9^1/_2$ przed południem. Sprawa dotyczy sprzedaży komisyi kolonizacyjnej dóbr Ostrowitego, Pakosławia i Polskiego Brzeźia.

— **Znana** wszechstronnie *firma W. Preiss* w rynku przebudowała w roku ubiegłym swój lokal handlowy, który znacznie powiększyła i stósownie do nowoczesnych wymagań modnie urządziła. Lokal handlowy długości 20 metr. ma przeszło 120 kwadr. metr. obszaru, jest bardzo jasny i robi imponujące wielkomiejskie wrażenie. Za lokalem ekspedycyjnym mieści się przy kantorku wygodny i również jasny gabinet do przymierzania, obszerne szwalnie zaś i pracownia znajdują się w drugiej części domu z ul. Koziej. Przed-

siębiorstwo to jest rzeczywiście największym obecnie specyalnym składem okryć damskich i kapeluszy w Poznaniu. Polecamy Paniom naszym powyżej wymienioną firmę na sezon zimowy, ponieważ wybór jest ogromny, obsługa rzetelna i ceny najniższe, stałe. Bliższe szczegóły zamieszczone są w dzisiejszym inseracie.

— **Zwracamy** uwagę na anons p. Mellina, tyczący się kursów handlowych w jego znacznie powiększonej i na 2 oddziały podzielonej szkole.

Do programu nauki dołącza p. M. korespondencyę w języku angielskim i francuzkim.

— **Pomnik** dla ś. p. prof. Szenica, Odbieramy pismo następujące: Spłacając dług wdzięczności — chcemy zmarłego profesora naszego ś. p. Stanisława Szenica uczcić skromnym pomnikiem na cmentarzu w Poznaniu. Uczniowie, którym drogą pozostała pamięć ukochanego profesora, zechcą składki nadesłać pod adresem: Msgr. Wawrzyniak, Mogilno.

W imieniu i z polecenia uczniów prof. dr. Szenica

Ks. Wawrzyniak z Mogilna, Antoni Karpiński z Gniezna, Raszewski z Jasienia.

— **Slub.** Dnia 22-go z. m. pobłogosławiony został w kościele farnym w Bydgoszczy związek małżeński pomiędzy panną Leokadyą Jasiakówną z Bydgoszczy a panem Tomaszem Zielińskim, budowniczym z Osia. — Szczęść Boże młodej parze!

— **Towarzystwo** polskie przed sądem. Izba karna w Toruniu rozpatrywała sprawę 8 członków zarządu Towarzystwa polskiego w Chełmży, oskarżenych o to, że przyjęli ucznia za członka i że raz nie donieśli policyi o przyjęciu nowych członków. Sąd ławniczy skazał tych panów swego czasu każdego na 50 marek kary. Zasądzeni odnieśli się do izby karnej. Sąd uwolnił oskarżonych co do przyjmowania uczni na członków, a za niedoniesienie policyi o przyjęciu nowych członków, skazał każdego na 20 m. kary wyjąwszy bibliotekarza, którego uwolnił. Zasądzeni udadzą się do wyższej instancyi. Obronę prowadził adwokat p. Mielcarzewicz z Torunia.

— **Ważny wyrok dla restauratorów.** Jakiś gość zjadł i wypił w restauracyi za 3 marki, a nie mając drobnej monety, dał kelnerowi 100-markówkę papierową. Kelner nie miał również 97 marek, poszedł więc zmienić stumarkówkę do bufetu, lecz po drodze zgubił ją i nigdzie jej odnaleźć nie było można. Gość zażądał zwrotu od gospodarza, lecz ten ani słuchać nie chciał o odszkodowaniu, odsyłając go do kelnera. Sprawa przyszła przed sąd i tak sąd okręgowy, jako też ziemiański skazały restauratora na wypłatę owych 97 marek, wywodząc, iż kelner jest upełnomocnionym pomocnikiem właściciela lokalu. Żądając od kelnera potraw i napojów, żąda ich gość tem samem od gospodarza i zawiera kontrakt kupna żądanych przedmiotów nie z kelnerem, tylko z gospodarzem. Kelner jest tylko osobą pośredniczącą. Z wymienionych powodów właściciel restauracyi odpowiada za czynność swego kelnera wobec gości i w obecnym wypadku owe 97 marek wypłacić musi.

— **Gniezno.** W ubiegłym tygodniu odbył się przed tutejszą Izbą karną proces członków Zarządu Samopomocy żeńskiej w sprawie stwierdzenia czy Towarzystwo to nie jest szkołą. Termin naznaczony na $^1/_4$12 przed południem rozpoczął się dopiero o godzinie 6 po południu i trwał aż do godziny 9 wieczorem. Na ławie oskarżonych zasiadły panie: drowa Marya Ulatowska jako przewodnicząca, Marcela Powidzka, Felicya Gosieniecka, Marya Olszewska, Marya Śmielecka, Zofia Konstańczak, Helena Szubert i Marya Jerzykiewicz.

Oskarżone panie bronił jędrnie i w ciętych słowach mecenas pan Karpiński, ale pomimo tej świetnej obrony, sąd skazał wszystkie panie na karę i to: panią przewodniczącą na 20 marek albo 4 dni aresztu, a resztę pań na 15 marek lub 3 dni aresztu. Prokurator usiłował udowodnić, że Towarzystwo Samopomocy żeńskie jest Towarzystwem politycznem, sąd atoli tych zapatrywań nie podzielił.

— **Srebrne wesele** obchodził dnia 26-go z. m. znany w mieście naszem mistrz rzeźnicki i właściciel kamienic, p. Aleksy Paluszkiewicz ze swą małżonką.

Zmarli.

† S. p. *Antonina z hr. Łubieńskich* z Pudliszek, owdowiała *hr. Julianowa Łubieńska*, dnia 24 z. m. w Krakowie, przeżywszy 73 lata.

† Ś. p. *Stanisław Kobusiński*, budowniczy, dnia 24-go z. m. w Gostyniu, przeżywszy lat 48.

† Ś. p. *Kazimierz Koszutski*, redaktor „Ziemianina", sekretarz Zarządu Centr. Towarzystwa gospodarczego w W. Ks. Poznańskiem, dnia 28go z. m. w Poznaniu.

Ruch w Towarzystwach.

— **Srem** W niedzielę dnia 11-go października odbędzie się zwyczajne zebranie Tow. ogrodniczego w lokalu p. Westphala. Uprasza się o liczny udział.

Zarząd.

— **Gostyń.** Walne zebranie Tow. Pomocy naukowej *powiatu gostyńskiego* odbędzie się w niedzielę d. 4-go października o godz. 5 po poł. w Gostyniu w sali strzeleckiej. Na porządku dziennym: 1. Zagajenie i ukonstytuowanie bióra. 2. Odczytanie protokółu z ostatniego walnego zebrania w Gostyniu i Poznaniu. 3. Sprawozdanie sekretarza i kasyera. 4. Wybór komitetu powiatowego na lat 3. 5. Walne wnioski.

X. Jackowski, sekretarz.

— **Gostyń.** Koło śpiewackie w Gostyniu urządza w niedzielę d. 4-go października w Strzelnicy, teatr amatorski. Odegraną będzie sztuka ludowa „Maciek Samson." Bliższych wiadomości udzielą afisze. O liczny udział uprasza

Zarząd.

— **Związek Tow. polsko-kat. robotników w Niemczech.** Zebranie delegatów odbędzie się w niedzielę 18 października b. r. po południu o godz. 3 w lokalu p. Miedzińskiego przy Holzmarkstr. Nr. 11. Na porządek dzienny przyjdą między innemi następujące sprawy: 1. Sprawozdanie skarbnika z 3 kwartału. 2. Potwierdzenie nowych ustaw. 3. Zjazd roczny delegatów. 4. Przyjęcie nowych Towarzystw: 1) Tow. polsko-kat. „Sobieski" w Bitterfeldzie, 2) w Tangermünde, 3) w Wilmersdorfie, 4) „Kaźmierz W." w Gocpnicku, 5) „św. Bernarda" w Hildesheimie, 6) robotników w Königs-Wusterhausen, 7, „Lech" w Berlinie, 8) robotników w Neurosolln N. L. 9) robotników w Zgorzelicy. 5. Wolne głosy.

Z powodu tak ważnego porządku dziennego uprasza się o udział wszystkich delegatów związkowych Tow. tudzież i pp. interesujących się kwestyą tą.

Berlin, we wrześniu 1903.

Zarząd.

Od Redakcyi.

Pani M. K. na prowincyi. — I cóż my na to poradzić możemy? Kto nie ma talentu niech nie pisze wierszy, a czas zyskany niech poświęci na kształcenie się w literaturze ojczystej.

Panu W. A. w K. — Czy autor wiadomego artykuliku zaczerpnął go z obszerniejszego dziełka — nie wiemy. Autor jest nam nieznany, zatem bliższą informacyą służyć nie możemy.

Wielebnemu Ks. K. w S. — Za wyrazy uznania i zachętę — dziękujemy serdecznie.

Studentowi. — Nie dziwimy się, że Szanowny Pan nie rozumie owych zwrotów dekadenckich. I my ich nie rozumiemy, zatem wyjaśnienia udzielić nie możemy.

Wiarusowi na prowincyi. — Jedyna rada wystąpić na drogę sądową.

— Manuskryptów niezwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo „PRACY."

Dział kobiecy.



Rzymska „Teresa Humbert.“

W Rzymie rozegra się podczas zimy proces bardzo sensacyjny, który budzi niemal to samo zaciekawienie, z jakiem śledzono sprawę Humbertów.

Rzymska „Teresa Humbert“ nazywa się Brygida Ubaldelli, występowała nad Tybrem od lat dwudziestu i znana tutaj była powszechnie jako hrabina Beatrice Ubaldelli. Z rodziny zamożnej, z okolic Urbina, przeszastawszy majątek męża i własny posag, rozłączywszy się rychło z małżonkiem, przyjechała przed laty do Rzymu, aby tutaj żyć „przemysłem“. Przystojna, choć nie piękna ale wytwornych manier, „hrabina“ rzuciła się w wir życia stołecznego, przyjmowała gości z najrozmaitszych sfer towarzyskich, dawała obiady, miała ekwipaż i... kochanków i w ciągu lat kilkunastu wyrobiła sobie sławę osoby, mającej wysokie stosunki w sferach parlamentarnych i ministeryalnych. Salon jej stał się też zbiorowiskiem najrozmaitszych figur, z których niejedna obecnie obawia się kompromitacyi. W końcu przeniosła się „hrabina“ do jednej z zacisznych wil przedmiejskich, gdzie miała zamiar założyć... szkołę rolniczą.

Nagle dowiedziano się, że Ubaldelli aresztowano, że policya wykryła rozmaite oszustwa, że na aresztowanej ciążą rozmaite podejrzenia i że śledztwo wykryje najbrudniejsze jej sprawki i różnych spólników. Przedewszystkiem ze zdumieniem dowiedziano się w Rzymie, że nie jest ani „hrabiną“, ani na imię jej Beatrice itd. Co się stało? Policya otrzymała zawiadomienie poparte dowodami, że „hrabina“ ubezpieczyła na życie siostrę, Elizę w dwóch towarzystwach i podała ją jako zmarłą, że w jednem towarzystwie ubezpieczeń już podniosła premię 30,000 lirów na podstawie fałszywych dokumentów, a z drugiem toczy dotąd proces z powodu podejrzeń ajenta.

Pokazało się więc, że na miejsce zmarłej jakoby siostry, podsunięto ubogą kobietę, która rzeczywiście znikła w sposób zagadkowy, albo też przedstawiono dla stwierdzenia zgonu ubezpieczonej, trupa kobiety wykradzionego ze szpitala. Domniemana umarła żyje dotąd, choć według akt, nie tylko umarła, ale według testamentu, jaki na łożu śmierci sporządzić miała, została po śmierci spaloną, tak, jak sobie życzyła. Dochodzenia policyi wykazały, że rzeczywiście na cmentarzu rzymskim, gdzie jest piec kremacyjny dla osób pragnących być spalonemi po śmierci, spaloną została osoba, podana za Elizę Ubaldelli. Powstaje obecnie podejrzenie, że osoba ta może została otrutą i spaloną dla zatarcia śladów, choć z drugiej strony policya wpadła na trop, że w owym czasie z jednego z szpitalów wydano potajemnie ciało zmarłej kobiety. Takich tajemnic i łamigłówek jest kilka, a odkryje się jeszcze więcej w miarę śledztwa.

Do nich należy znalezienie w domu hrabiny młodej panienki siedemnastoletniej, Żeorżyny, która uchodziła za córkę pani domu, a jest zagadkowego pochodzenia. Z pierwszych badań wynikło, że właściwie panienka ta ma... dwie matki i trzech ojców. Pewna praczka zeznała, iż Żeorżyna jest jej córką, a nie „hrabiny“, i że odstąpiła ją za wynagrodzeniem, gdyż Ubaldelli potrzebowała dziecka, aby wmówić w rozmaitych adoratorów, że jest owocem stosunków, jaki miała z nimi. Jakoż trzy wysoko położone osoby, ze świata politycznego, uchodziły za ojców panienki. Ubaldelli miała jako spólników w fałszerstwach krawca, akuszerkę, oraz rozmaitych urzędników, którzy dziś są grubo skompromitowani i żałować muszą lekkomyślności, z jaką dali się usidlić przez oszustkę, która uprawiała także wysokie ubezpieczenia swoich mebli, poczem... często bywały w domu pożary. Niewątpliwie śledztwo wykaże dużo fałszerstw w aktach urzędowych, w listach rekomendacyjnych fałszowanych, na które dwóch monsiniorów z Watykanu się złapało. Nie jest wyłączonem, że „hrabina“ otruła chorego męża, aby podnieść prędzej premium ubezpieczenia. W Rzymie oczekują z zaciekawieniem końca tej sprawy.

Kaprysiki mody.

Dwie nowości z działu biżuteryi. Oto wprowadzają w użycie bransoletki rozciągające i ścieśniające się w miarę potrzeby. Bransoletkę taką przyszywa się do brzegu rękawa, a po włożeniu ręki zacieśnia się ją, czyniąc tę ładną ozdobę zupełnie do ręki przystającą, jest to rodzaj mankiecika albo paska.

Jak we wszystkiem tak i tu pojawiły się zaraz imitacye lepsze lub gorsze, co oznacza, że ten kaprys mody wkrótce się ropowszechni, spopularyzuje, spowszechnieje, a szkoda, bo rzecz sama przez się jest bardzo udatnym i wytwornym pomysłem.

Druga nowość polega na przyozdobieniu szyi w długi, cieniutki łańcuszek, na którym zawieszony jest jeden duży brelok w kształcie olbrzymiej perły, kołyszącej się na piersiach.

Ładne są te kaprysiki mody!

Z kodeksu oświadczeń.

Najlepiej oświadczać się po ciemku, ale trzeba wpierw wiedzieć, że mówi się do właściwej osoby. Pożycie małżeńskie wykaże czy osoba była właściwą lub nie.

Najwłaściwszą porą do oświadczenia się wdowie jest chwila, gdy się jej w domu nie zastanie. Oświadczając się, dobieraj słów. Niejedna, która ci odpowie przecząco na pytanie: „Czy mnie kochasz,“ przyjmie cię z otwartemi rękoma, gdy ją zapytasz: Czy chcesz zostać moją żoną?

Jeśli oświadczysz się na klęczkach, będziesz klęczał przez całe życie.

Jeżeli panienka przyjmie twe oświadczyny ze zdziwieniem, to znak, że będziesz miał żonę dyplomatkę.

Jeśli panna odpowiada „nie,“ to znaczy, że cię nie chce. Jeżeli mówi „nnie“ to znaczy, ma ochotę wyjść za ciebię.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Sztuczny jedwab.

„Czy wobec tego, że jedwab jest właściwie wyższym stopniem płynu gumowego, nie dałoby się wyrabiać go z naszej gumy? Byłoby wprawdzie trudno wyprowadzić nici tej nadzwyczajnej, jak to widzimy u jedwabników, cieńkości i delikatności, ale na cóż się ludzka sztuka nie zdobędzie“...

Tak pisał w roku 1734 Reaumur, znany wynalazca termometru jego nazwiska. I upłynęło akurat półtora wieku, zanim myśl znakomitego fizyka praktyczne przybrała kształty, gdyż w r. 1885 dopiero wystąpił publicznie hr. Hilary de Chardonnet ze sztucznym jedwabiem swego wynalazku, a mianowicie z cellulozy. Po Chardonnecie Vivier, Lehner, Cadoret i inni dalsze w tym kierunku czynili doświadczenia, które wprawdzie różniły się w szczegółach od pomysłu pierwotnego wynalazcy, w zasadzie jednak, polegały zawsze na jednem i tem samem:

W glinianych naczyniach o pojemności około 40 litrów zanurza się 4 klgr. waty w 35 litrowym roczczynie saletry i kwasu siarkowego i wszystko to pod szklannem nakryciem miesza się przez chwilę. Celluloza przeistacza się tym sposobem w tak zwaną nitrocellulozę czyli bawełnę strzelniczą. Zbędny kwas usuwa się za pomocą pras hydraulicznych, z których też nitrocellulozowy materyał wychodzi w postaci zbitych placków. Placki rozrywa się i płócze. Wypłókany i wyciśnięty materyał pakuje się następnie do stalowego, pocynkowanego kotła i zalewa się mięszaniną w równych częściach z alkoholu i eteru. W 15 do 29 godzin rozpuszcza się nitrocelluloza i tworzy „kollodium“. Podobnie, jak jedwabnik swoje, na pół płynne, wydzieliny na jedwab przerabia, tak samo Chardonnet, przy pomocy specyalnie do tego skonstruowanych maszyn przemienia gęste kollodium na sztuczne nitki jedwabne. Wiele lat poświęcono na próby, zanim zdołano te maszyny zupełnie odpowiednio do wymagań udoskonalić. Dziś doprowadza się kollodium ze stalowych, pocynkowanych kotłów, przy ciśnieniu 40—20 atmosfer, do przędzalń ze sztucznymi jedwabnikami w postaci rurek szklanych, których otwór ma zaledwie $^8/_{100}$ mm. Tylko przy zastosowaniu wspomnianego, silnego ciśnienia jest możebnem przeprowadzenie stężałego collodium przez te cieniutkie niesłychanie rurki. Wychodząca z maszyny do przędzenia nitka, jest biała i wskutek szybkiego ulatniania się eteru natychmiast odpowiednio mocna i sucha. 10 do 36 takich nitek, łączy się następnie, stosownie do żądanej grubości, w jedną nić jedwabną, i nawija się na szpulkę. Jedna maszyna do przędzenia zaopatrzona jest mniej więcej w 100 szpulek. Przy najcieńszym numerze sztucznego jedwabiu, trzeba 270,000 metrów przędzy na kilogram.

Jedną z największych trudności, jaką Chardonnet w wynalazku swoim miał do pokonania było, ażeby sztuczny jedwab, przed oddaniem go do użytku, uczynić niezapalnym. I tę trudność jednak powiodło mu się w końcu usunąć trzymanym dotąd w ścisłej tajemnicy sposobem, który w ostatnich czasach tak ulepszono, że dziś sztuczny jedwab nie jest więcej od bawełny np. zapalnym.

Jakież są praktyczne wyniki wynalazku Chardonneta i jego następców? Przedewszystkiem a raczej na razie, teraz już, szerokie zastosowanie w przemyśle szmuklerskim, czego najświeższym dowodem była wystawa w Düsseldorfie.

Idealnym także ma być sztuczny jedwab jako podkład do haftów, które występują na tle jego niezwykłego połysku bardzo plastycznie. W fabrykacyi kapeluszy wywoła również sztuczny jedwab przewrót, zaczyna bowiem rugować w znacznej mierze słomkę.

Co do zastosowania wynalazku Chardonneta w tkactwie jedwabniczem, jako bezpośredniego współzawodnictwa jedwabiu naturalnego, to pod tym względem przędza pajęcza przewyższa jedwab sztuczny, o czem miano sposobność przekonać się na ostatniej wystawie paryskiej.

Jak wiadomo żyje na Madagaskarze wielki pająk, który daje nici o nadzwyczajnym także połysku i wspaniałym żółtym kolorze. Tę to przędzę od wielu lat usiłował wyzyskać misyonarz Cambone, a usiłowania jego pomyślnym w końcu zostały uwieńczone skutkiem.

Cambone wynalazł przyrząd, nazwany gilotyną, pomimo, że nie jest na to, żeby życia pozbawiać pająka, tylko ułatwia ubezwładnienie złośliwego stworzenia, które nie daje sobie dobrowolnie zabierać swojego jedwabiu. Przyrządem tym jest skrzynka na 12 albo 24 podzielona przegródek, tak zbudowana, że dno każdej przegródki składa się z dwóch rozsuwalnych a szczelnie przystających do siebie deszczułek. W środku szczelin deszczułek znajduje się otwór, odpowiadający wielkości tułowiu pająka. W otwór ten łapie się pająka w ten sposób, że jego narządy do kąsania i ostremi łapkami uzbrojona pierś znajdują się wewnątrz skrzynki, podczas gdy tylna część tułowiu z jedwabiodajną brodawką wystaje od strony zewnętrznej. Stosownie do gatunku pająków, potrzeba ich do 36, ażeby uzyskać nić wystarczającą do owinięcia pewnej miary szpulki. Do wydobywania z pająka drogocennego materyału niezwykłej potrzeba zręczności. „Operator“ — najlepiej nadają się do tego zajęcia kobiety z możliwie najdelikatniejszymi palcami — musi występującą z pajęczej brodawki, lepką z początku, która na powietrzu dopiero tężeje i tworzy nici pajęcze, materyę wydobyć i to przez delikatne tylko obmacywanie. Następnie łączy się nitki wszystkich zoperowanych pająków w jedną nić, w podobny sposób, jak to się dzieje przy zwijaniu kokonów jedwabników. Pająka, gdy oddał już cały swój zapas materyału, uwalnia się z łapki, w której go tak męczono i trzeba go potem długo i dobrze odżywiać, żeby mógł znów dostarczać swoich nici.

Przed kilku laty założył w Paryżu niejaki Cachot pajęczą fabrykę jadwabiu. Z początku walczyć musiał ze znacznemi trudnościami, gdyż trzeba było najprzód wykształcić sobie odpowiedni do obchodzenia się z pająkami personał, w usiłowaniach jednak nie ustaje, z żelazną wytrwałością ciągle robi postępy i ma nadzieję, że swojem przedsiębiorstwem stworzy kiedyś wielką gałąź przemysłu.

Nadzieje jednak Cachota są chyba zbyt różowe, trudno bowiem przypuścić, żeby w najpomyślniejszych nawet warunkach rozwoju, mógł jedwab pajęczy, przy tylu naturalnych trudnościach, przekroczyć granice skromnej ostatecznie a bardzo kosztownej produkcyi. I trudno też uwierzyć, żeby jedwabniki w przemyśle jedwabniczym mogły być przez pająki wyparte. Groźnymi współzawodnikami jedwabników, mogą się stać jedynie i staną się kiedyś z pewnością — chemicy.

Kl.

Dodatek Humorystyczny.

W kalejdoskopie.

Na wsi.

Sprzykrzyło się Grzeli chodzić
Ciągiem w pojedynkę...
Nuż do Kaśki — w zalecanki!
Nuż ją łechtać krzynkę!
Kaśka dziewka, niby rzepa,
W sobie krzepka, jara!
Sadłem Grzela but smaruje:
Juźci-ć będzie para!

W mieście.

Już mu czwarty minął krzyżyk,
Więc trochę strwożony
Postanowił jak najrychlej
Szukać sobie żony!
Szukał, szukał i nareszcie
Zawołał z zachwytem:
— Mam już pannę upatrzoną
Piękną — oraz z mytem!...

* * *

Oj, będą wesela!
Będą — jak się patrzy,
Za niedzielę, za dwie
Albo może za trzy!
Dla drużbów i kumów,
Chwila to szczęśliwa!
Bo po uszy będzie
Trunków i mięsiwa!...

Na wsi.

Dał szturchańca Grzela Kasce
I za bok ją chwyta.
— Chcesz być moją, gadaj zaro!
Wezmę cię i kwita!
— Oj dla cygo! Psecies z ślipiów
Niezgozej ci patsy!
Kiej mnie pragnies, to ja twoja,
Boś nad jenszych gładszy!

W mieście.

Poszedł, niosąc bukiet w ręce,
Oświadczyć się damie...
Z ust — miłosne płyną słowa,
Chociaż — serce kłamie!
Panna zaś — ni to, ni owo...
Czyni fochy, kramy...
Aż nareszcie wycedziła:
— Spytaj się pan mamy!

Na wsi.

Były zrękowiny!
Przybyli sąsiedzi...
Grzela się zawinął —
Dał na zapowiedzi...
Całką wieś sproszono,
I bez trzy dni blisko
Trwało Grzesia z Kasią
Huczne weselisko!...
Oj, sypały iskry
Chłopaków podkówki!
Oj, pękały w tańcu
Dziewuchom sznurówki!
Po weselu — z Kaśką
Szedł Grześ ku chałupie,
Gdzie do dziś dnia żyje
Z swoją Kaśką w kupie!
I — jak przykazano —
Chwyta na nią grabie,
Bo chłop jest od tego,
By lał cięgi babie!...

W mieście.

Były komeraże
I różne przeszkody...
Wreszcie są gotowi:
Panna i pan młody...
Ślub się odbył wielki
U panien Szarytek,
A uczta, w „Bazarze“
Gdzie wiódł tańce Mitek...
Po weselu do dom
Powracają z rana
On, jak dyabeł, wściekły,
Bo nie dostał wiana...
A ona ma chmury
Na wynioslem czole,
Bo ją miłość srodze
Ku innemu kole...
I tak żywot wiodą
W wiecznej separacyi...
Ba! nie stworzą nawet
Nowej generacyi!...

Pieśń dziadowska

o przebudzeniu się sezonu jesiennego w Poznaniu.

Nie wyśpiewa, nie opisze
Co się na mieście stało:
Straśny łomot przerwał ciszę
Ludu płynie nie mało:
Od kolejów, od trajwanów
Siła jadzie paniów ,panów,
Wszystkie czarne na gębie!

Słonko wsiowe Poznaniaka
Przekształciło na Murzyna,
(O któremci gadka taka
Jako krześcian zarzyna!)
Tłuką koła drynd po bruku,
Siła w mieście huku, puku,
Jeno uszy zatykać!

Miłosierne dobrodzieje!
Z fantazyą, buńczucznie,
Opuściły wiejskie knieje
Pensyonarki i ucznie...
Umiejętność pono cała
Z głów im latem wywietrzała,
Trza poczynać na nowo...

Andel jako spał bez lato,
Kiej nie było nic ludzi,
Tera się ogromnie za to
Rozrucha i obudzi.
Całkiem jeszcze bandzie życie,
Wszyscy myślą o... kredycie...
Używanie dla kupca!

Po tryjatrach, po muzyce
Bandzie wodził mąż żonę:
Po letnisku — kiej donice
Dziś jaktory spasione!
Homor mający więc łebski...
Lepertuar jeno kiepski...
Gołe dusze go piszą!

I w gazytach ruch, że rety!
Polemicna muzyka...
Jeden majster swe gazety
Za darmochę ci wtyka!
Kiej go stać na takie rzuty,
Wikt mieć musi *fraj* i buty
I komorne w dodatku.

Nie wyśpiewa, nie opisze,
Jaki w mieście dziś rezon:
Straśny łomot przerwał ciszę,
Już obudził się sezon:
Od kolejów, od trajwanów
Siła jadzie paniów, panów,
Wszyscy zdrowi i goli!

Niewzruszony.

— Żal mi pana, że krytyka tak źle przyjęła pańską sztukę.

— Nie wiele mnie to wzrusza, gdyż ani jedna myśl nie była moją.

Apetyczne!

Alfred: Moja łaskawa panno Wandziu, wie pani, co noszę zawsze na sercu? Markę pocztową listu pani do mojej siostry. Zwilżyła ją pani swemi slodziutkiemi usteczkami — a ja często caluje te miejsca.

P. Wanda: Ale, panie Alfredzie, przepraszam. Mnie bo wydaje się obrzydliwie oblizywać marki, dlatego też zwilżam swoje zawsze na nosku naszego Kruczka...